

H. Jeziarski



POTOMEK
HETMAŃSKI



Tom II

POTOMEK HETMAŃSKI

POTOMEK HETMAŃSKI

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU WOJNY 1812.

PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA

NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA

i «NASZEGO ŚWIATA»

Dodatek do «N. Świata»
za Luty 1912 r.



75 640/2

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.
1912

2-86/77/81954
67803

VI.

Książę Józef.

Książę Józef Poniatowski pokładał głęboką wiarę w obietnicach Napoleona i pewien był, że władca ten, zwycięzca prawie całej Europy, dotrzyma swoich przyrzeczeń co do odbudowania Polski.

Ślepo też był posłusznym rozkazom jego i choć nie było przyjemnem dla niego, doświadczonego, zwycięzkiego w wielu bitwach wodza, oddanie się pod komendę zniewieściałego, zajętego więcej osobą swoją, niż wojskiem, króla Hieronima, przyjął jednak ten rozkaz spokojnie, wiedząc dobrze, że podstawą wszelkiego powodzenia jest subordynacja.

Powodując się nią, zgodził się na ten rozkaz i choć nieraz błędy i niezajomość sztuki wojennej króla Hieronima wiodły wojska na

jawną zgubę, krzepił się w duchu, że Napoleon zdzierży słowo swoje.

Gdy wojska polskie stanęły nad granicą, zjawił się w obozie wysłaniec cesarza Aleksandra i poprosił księcia Józefa o poufne posłuchanie, w imieniu monarchy swego obiecywał mu najwyższe godności i zaszczyty, byle tylko zerwał z Napoleonem i z wojskiem swoim przyłączył się do wojsk rosyjskich.

— Wasza książęca mości — mówił on — cesarz Napoleon napewno pokonanym zostanie. Ludzi was obietnicami, których napewno nie dotrzyma. A tymczasem, gdyby wasza książęca mość usłuchała wezwania cesarza Aleksandra, droga do najwyższych dostojęństw i godności przed waszą książęcą mością stoi otworem.

Na te słowa porwał się książę Józef i odrzekł:

— Mości panie! nie nauczonym jest łamać raz już dane słowo honoru. Cesarz Napoleon dał już raz dowód swej dobrej woli, tworząc Księstwo Warszawskie, nie mam też racji nie wierzyć, by i teraz obietnic swoich nie dotrzymał. Jestem przedewszystkiem sługą Polski i jej służę. Taką odpowiedź zawieź waszmość pan cesarzowi Aleksandrowi.

Wysłaniec cesarski skłonił się z szacunkiem księciu Józefowi i natychmiast powrócił do ojczyzny.

Wojska polskie tymczasem przeprowadziły się przez Niemen i w dniu 30 czerwca stanęły w Grodnie. Stamtąd ruszyły dalej, aż pod Mir, gdzie dzięki niedołęstwu króla Hieronima poniosły porażkę.

Przygnębiło to bardzo księcia Józefa i dopiero wiadomość, otrzymana od marszałka Davoust, pokrzepiła go trochę.

Zajął się też ćwiczeniem wojska, zaopatrywaniem go we wszystko, tak, żeby gotowe było jak najprędzej do wymarszu.

A tymczasem porucznik Habdank spał snem kamiennym prawie że dwadzieścia godzin.

Gdy otworzył oczy, ujrzał, że jest rozebrany z munduru i że pod oknem ordynans przyprowadza do porządku jego ubiór, nadwerężony podczas tej forsownej podróży.

Przez chwilę nie mógł sobie zdać sprawy z tego, gdzie się znajduje, wreszcie spytał:

— Gdzie jestem? czy jeszcze w Nieświeżu?

— Tak, panie poruczniku — odrzekł ordynans, odwracając się do niego.

— Czy długo spałem? — pytał dalej porucznik.

— Prawie całą dobę, panie poruczniku — brzmiała odpowiedź.

Habdank porwał się z łoża i zaczął się śpiesznie ubierać.

Czuł straszny głód, to też zdziwił się przyjemnie, gdy drzwi rozwarły się i na progu

stanął ordynans, niosąc na tacy dymiące śniadanie.

— Księżę pan przysła dla pana porucznika i prosi, by pan porucznik po śniadaniu zechciał zejść na dół.

Rozrzewniła Habdanka dbałość księcia o niego, ta pamięć o nim, który był tylko marnym pionkiem w tej olbrzymiej armji.

Ale i głód ma swoje prawa.

Zasiadł przy stole i zaczął zajadać jedną potrawę za drugą, z apetytem, godnym zupełnie lat jego.

Nasycił się wreszcie, przypasał szablę i zeszedł na dół, do komnaty, gdzie oczekiwali na rozkazy adjutanci oraz oficerowie księcia.

Wśród zebranych poznał i owego porucznika, którego spotkał wtedy z podjazdem.

Poznał i on go i z ukłonem zbliżywszy się do niego, tonem raportu oznajmił:

— Gniadosz pański, poruczniku, przybył szczęśliwie i znajduje się już w stajni księcia.

Habdank z wdzięcznością uściśnął rękę porucznika za tę pomyślną wiadomość o wiernym rumaku.

— Bóg zapłać ci, poruczniku — wyrzekł wzruszony.

Przyłączyło się do nich paru oficerów, z którymi zaczął rozmawiać o wojnie.

Powoli do rozmowy mieszać się zaczęli

i inni oficerowie, tak że wkrótce stała się ona ogólną.

Rozmawiali oni z porucznikiem Habdankiem o przejściu wojsk wielkiej armji przez Niemen, o pobycie w Wilnie, o przeglądzie wojsk przez Napoleona, o ogłoszeniu niezależności Litwy, oraz o dalszym pochodzie do Mińska.

Wstrząsali się z oburzenia i zgrozy, przy opisach nieporządku i niesubordynacji wśród wojska, o grabieżach i rabunkach maruderów, o głodzie i brakach...

W trakcie tej rozmowy otworzyły się drzwi od gabinetu księcia i sekretarz oznajmił:

— Księżę pan prosi porucznika Habdanka do siebie.

Urwały się odrazu rozmowy i porucznik udał się do gabinetu księcia.

Księżę Józef przywitał go skinieniem ręk i wskazując krzesło naprzeciwko siebie, rzekł:

— Opowiedz mi, poruczniku, co ci wiadomo o przejściu armji i o cesarzu.

Porucznik Habdank zaczął swą opowieść, a księżę Józef słuchał go z uwagą, nie odrywając na chwilę oczu od niego.

Gdy skończył, rzekł nagle:

— Daruj, poruczniku, lecz Habdank to nazwa herbu. Czy można wiedzieć twe nazwisko?

To nagłe pytanie zmieszało porucznika. Za-

plonął się, opuścił głowę na piersi i po chwili dopiero odrzekł:

— Wasza książęca mości! Nazwisko moje i pochodzenie jest tajemnicą... Ukrywam je, gdyż bezimiennie chcę nagrodzić Polsce krzywdę, jaką jej mój pradziad wyrządził... Wyjawię je waszej książęcej mości, lecz błagam o tajemnicę.

I pochylony ku księciu Józefowi, szepnął coś.

Książę Józef porwał się z miejsca i schwytawszy porucznika za rękę, utkwil w twarzy jego płomienne oczy.

— To ty, poruczniku! Ty... Niech Bóg błogosławi twoim zamiarom! Dziękuję ci, poruczniku, za zaufanie, którego nie zdradzę, możesz być pewnym.

A teraz wracam do spraw bieżących:

Będziemy tu stać aż do czasu otrzymania rozkazu cesarskiego. Pozostaniesz tu z nami i aż do czasu połączenia się z pułkiem swoim, będziesz przy mnie w charakterze adjutanta.

Porucznik Habdank podziękował ukłonem i wyszedł z gabinetu.

I znów otoczył go wir życia obozowego, w którym utonął całkowicie.

Dnie całe spędzał w gronie towarzyszków-oficerów, to znów na wycieczkach i podjazdach lub przy księciu Józefie.

Tak minęło dni parę.

Wreszcie pewnego dnia, gdy wrócił z podjazdu, ujrzał przed częścią pałacu nieświeskiego ruch jakiś niezwykły, pakowanie rzeczy na wozy, uwijanie się służby króla Hieronima i jego adjutantów.

Spostrzegłszy stojącego w pobliżu oficera znajomego, podsunął się do niego i po przywitaniu spytał:

— Co to ma znaczyć?

— A nic... Król Westfalski opuszcza naszą armję i wraca do Paryża!

A na to stojący opodał stary wachmistrz ułanów dorzucił:

— Nawojował się już!

— A że dalej może zbraknąć mleka na kąpiele, więc wraca dodał drugi.

Tymczasem zaś oficer objaśniał porucznikowi:

— Przyszedł rozkaz od cesarza, że król wraz z całym korpusem przechodzi pod komendę marszałka Davoust... Oburzył się o to srodze, gniewał, aż wreszcie oznajmił, że nie zamierza usłuchać rozkazu cesarza i wraca do Paryża.

— A my co zrobimy? — pytał dalej porucznik.

— Cały nasz korpus, stosownie do rozkazu cesarza, podąży pod dowództwem księcia Józefa do Mohilewa. Rozkazy do wymarszu już wydane i jutro o świcie wyruszamy.

Habdank pożegnał się z owym oficerem i podążył do głównej kwatery. Tam również panował ruch niezwykły. Adjutanci wybiegali z coraz nowymi rozkazami, a w gabinecie księżym skrzypiały pióra sześciu sekretarzy, piszących rozkazy, sporządzających biuletyny i wykazy.

Wpadł porucznik w ten wir i gorączkowo zabrał się do pracy.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem wyruszył w powrotną drogę z mnogim taborem i dworem swoim król Hieronim Westfalski, żegnany przez księcia Józefa oraz generałów korpusu polskiego.

Gdy wyjeżdżał z obozu, biegły w ślad za nim drwiny starych wojaków:

— Delikacik...

— Paniątko, kąpiel z mleczka wykipi!

— A i winka do niej zbraknie!

Niegodny brat wielkiego Napoleona, zawdzięczający mu wyniesienie swoje, uchodził przed trudami wojennymi, uchodził przed widmem tych bitew, które brata jego kosztować miały koronę cesarską, a jego pozbawić odrazu wszystkiego i skazać na tułaczę życie.

Nazajutrz, o świcie, wojska polskie wyruszyły w dalszy pochód i po wielu utarczkach z ustępującym wciąż generałem rosyjskim Bagrationem, dnia 28 lipca wkroczył książę Józef do Mohilewa, który już minął korpus mar-

szałka Davoust, po zajęciu miasta przez tegoż w dniu 23 lipca.

Porucznik Habdank po wejściu do miasta pobiegł natychmiast do stanowisk wojsk marszałka, by odszukać pułk swój i zobaczyć się ze swoim znajomym, lecz dowiedział się, że pułk jego powędrował już w przedniej straży nad Dniepr, gdzie rozłożyć się miał obozem.

Zaraz wziął zwolnienie ze służby adjutanta od księcia Józefa i podążył szlakiem korpusu.

Po drodze wszędzie snuli się gońce oraz adjutanci i oficerowie sztabowi.

Chodziły wieści o przygotowaniu się Rosjan do ataku, szykowano się też na gwałt do odparcia go.

Upał był straszny, tak, że żołnierze z trudem wlekli się po piasku.

Porucznik Habdank mknął na swoim gnioszku drogą w ślad za posuwającym się na przód wojskiem.

Na trzeci dzień dopiero, po przebyciu mostu łyżwowego na Dnieprze, stanął koło miasteczka Dubrowna, gdzie przednia straż korpusu marszałka Davoust'a rozłożyła się obozem.

Wjechał do obozu i przyjemnie zdziwił się ładem, jaki tam ujrzał.

Każda dywizja miała tam wyznaczone sta-

nowisko, przyczem z balików i słomy pobudowano doskonale baraki.

Żołnierze zajęci byli albo sypaniem szańca przedmostowego, albo też gromadzeniem żywności. Z powodu jednak gęsto krążących w okolicy oddziałów kozaków, wszystkie te prace dokonywano pod osłoną znacznych sił zbrojnych, gotowych każdej chwili do odparcia ataku.

A przytem do obozu ściągali ze wszystkich stron żołnierze, którzy pozostali w marszu i teraz dopiero dogonili swe oddziały, dopełniając je.

Porucznik, dopytując się po drodze, natrafił wreszcie na swój oddział i z radością powitał Garlińskiego i Wicherskiego.

Młody Habdank stał się odrazu bohaterem chwili: koledzy otoczyli go, dopytując o szczegóły wyprawy jego i ucieszyli się, posłyszawszy, że książę Józef z oddziałem swoim znajduje się tak blisko.

— A u nas — opowiada kapitan Jan, gdy porucznik skończył swą opowieść — aż wre od pracy. Bawimy się w rolników... kosimy zboże, młóćmy je, mielemy i z mąki wypiekamy chleby na zapas. Zagospodarowaliśmy się tu zresztą niezłe... O, patrzcie!

I wskazywał mu rozstawione baraki, zaostrzone w stoły i krzesła, na wielki plac ćwiczeń, ozdobiony pościnanami brzózkami.

Powoli z rozmów o stanie rzeczy w obozie, przeszli na temat ogólny toczącej się wojny.

— Tak mówił niemłody już podpułkownik Przemyski — nie udał się plan cesarza, ażeby wpaść na rozdzielone armje rosyjskie, pozostające pod wodzą generalów: Barclay de-Tolly i księcia Bagrationa. Dzięki niedołęztwu i lenistwu Hieronima, książę Bagration zdołał się wydobyć z zastawionych sidła i podążył ku Witebskowi, gdzie połączył się z Barclayem. Gdyby działania jego prowadzone były rozumniej i energiczniej, Bagration, pociągnięty ku południowi, nie uszedłby zguby.

— I to właśnie może cały plan kampanji zmienić i wpłynąć na jej powodzenie — zauważył niemłody już kapitan legji nadwiślańskiej, Razowski.

— Ha, Płatow z kozakami uwija się w pobliżu, a Barclay i Bagration pociągnęli ku Witebskowi, ażeby tam zastąpić drogę cesarzowi — odezwał się porucznik Stanisław.

— Należy zatem oczekiwać z dnia na dzień wiadomości o bitwie rozstrzygającej pod tem miastem — dodał podpułkownik Przemyski.

A na to znów kapitan Razowski:

— Bóg sam da zwycięstwo, lecz przyznać trzeba, że wielka armja znacznie zeszczupiała dzięki temu, że żołnierze przyuczają się do rabunku. A toż generalowie Hagendorp i Bro-

nikowski wysłać musieli całe kolumny wojsk przeciwko owym maruderom, kryjącym się po lasach i urządzającym prawdziwe wyprawy... I dzięki temu toczą się prawdziwe bitwy między oddziałami wojsk, gdyż maruderzy nie chcą poddać się i upokorzyć.

I gawędzili tak z sobą o przeróżnych, blisko obchodzących ich sprawach, myśląc o tajemniczej przyszłości, która niewiadomo co im miała przynieść.

Niedługo jednak trwał ich wypoczynek. Praca około zaprowiantowania obozu, oraz zaprowadzenie ładu i porządku, ciągle podjazdy i straże, pochłaniały ich zupełnie.

Kozacy krążyli wciąż wokoło i urywali jak mogli oddziały francuskie.

Razu pewnego porucznik Wicherski wysłany został na pikietę, gdy naraz posłyszał odgłos strzałów...

Zaniepokojony tem, zwłaszcza, że panował jeszcze zmrok przed świtem, posunął się ostrożnie naprzód i ujrzał przy białych przeblaskach świtu, tuż przy niewielkim lasku brzo-zowym, wysłanego o brzasku na rekonesans wraz z 17 ludźmi, sierżanta Dachowicza.

Otoczony przez kozaków, bronił się rozpaczliwie, odstrzeliwając się i cofając do przednich straży obozu.

Dostrzegł porucznik grożące im niebezpieczeństwo i huknąwszy:

— W konie! naprzód! marsz!... — runął ze swoją garścią na pomoc sierżantowi i jego ludziom.

Lecz zanim dopaść zdołał do miejsca tego, ujrzał kozaków odjeżdżających klusem i ginących w oddali...

Niepokój ścisnął jego serce i gdy znalazł się przy lasku brzo-zowym, zobaczył wszystkich żołnierzy, leżących kołem, zakłutych lancami.

Zbyt słabe mając siły, by puścić się w po-goń za uchodzącymi, dał znać do obozu i wnet wysłano oddział wojska z działami, lecz ten nigdzie nie napotkał śladu nieprzyjaciela.

Zajęto się uroczystem pogrzebaniem zwłok poległych: sierżanka Dachowicza i jego żołnierzy, przy czem obecnym był marszałek Davoust wraz ze sztabem swoim, oraz wszyscy oficerowie.

Jednocześnie do obozu napływały coraz nowe wieści... Dużo mówiono o odpowiedzi cesarza Napoleona w Wilnie na adres, jaki mu doręczyła deputacja konfederacji warszawskiej. Komentowano treść jej i zastanawiano się nad nią.

W odpisach krążyła ona po całym obozie. Odczytywano ją skwapliwie, lecz mętna, niezdecydowana treść jej nie zadawalniała niko-go, nikt też nie mógł znaleźć w niej tego, co go najwięcej obchodziło.

— Cesarz — odezwał się kapitan Razowski — wzywa do powstania Litwę, Żmudź, Witebsk, Mohilów, Wołyń, Ukrainę i Podole, a nie odważa się ogłosić wskrzeszenia Polski!

Słowa jego były wyrazem sądów wszystkich żołnierzy polskich.

A jednocześnie prawie nadeszła wieść o bitwie pod Ostrownem. Przywiózł ją porucznik jazdy polskiej, Nowicki, przysłany przez cesarza z nowym rozkazem do marszałka Davoust.

Wnet po zdaniu poselstwa otoczyli go oficerowie polscy i z ciekawością rozpytywać się zaczęli o ostatnie wiadomości.

Porucznik zasiadł w cieniu jednego z baraków i odświeżając się winem, które mu coraz nalewano do szklanicy, zaczął opowiadać:

— Cesarz Napoleon opuścił Wilno w dniu 16 lipca i udał się za armją swoją, kierującą się ku Witebskowi.

W tym czasie dywizja generała Sebastiana stoczyła niepomyślną potyczkę z wojskami rosyjskimi. Cesarz, przypuszczając, że właśnie potem generał Barclay będzie chciał stoczyć ogólną bitwę, posunął się ku Dźwinie i Dryssie, lecz tam znalazł już obóz rosyjski opuszczony.

Posuwaliśmy się wciąż naprzód ku Witebskowi i wreszcie pod Ostrownem zetknęliśmy się ze znaczniejszymi siłami rosyjskimi.

Wynikła bitwa. Przez długi czas szanse zwycięstwa ważyły się: raz Rosjanie brali górę, to znów Francuzi. Aż wreszcie przed brygadą jazdy polskiej generała Niemojewskiego zjawił się król Neapolu, Murat, i z szablą w ręku, osobiście, prowadził ją do ataku. Runęła jazda polska na pułki rosyjskie i w jednej chwili szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Francuzów.

Po odpoczynku ruszyliśmy dalej. Codziennie prawie staczano drobne potyczki nad brzegami rzeki Luczissy, i cesarz rozumiał już, że przyjdzie do walnej bitwy, i przez noc całą szykował się do niej, by ostateczny cios zadać generałowi Barclayowi i tem rozstrzygnąć losy wojny. Utwierdzały go w tem przekonaniu pomiędzy innymi liczne ognie, płonące po drugiej stronie rzeki, w obozie nieprzyjacielskim.

Gdyśmy jednak o świcie dnia następnego ruszyli na obóz, nie znaleźliśmy w nim nikogo; Rosjanie cofnęły się jeszcze z wieczora, paleniem ogni utrzymując nas w złudzeniu, że szykują się do przyjęcia bitwy.

Ten ich odwrót odsłonił nam Witebsk, który też zaraz zajęliśmy.

A teraz w planie cesarza leży widać zwycięstwo Smoleńska, gdyż do wszystkich dowódców korpusów wysłał rozkazy podążania do tego miasta.

Porucznik Nowicki umilkł, a z grona zebranych nikt ani słowem nie odezwał się.

Wiara w dobrą gwiazdę Napoleona, w jego geniusz wojenny, w tem gronie wojaków była tak wielką, że pomimo tego, iż widzieli mnogie błędy jego, gdyby rozkazał im iść aż do bieguna, bez najmniejszego słowa protestu ruszyliby naprzód.

Niepokoili się jednak wszyscy tem ciąglem cofaniem się Rosjan.

— Wszystko idzie dobrze — mówili starsi, doświadczeńsi oficerowie — dopóki jest ciepło. Rosjanie wtedy dopiero prowadzą wojnę, kiedy Pan Bóg pobuduje im mosty, t. j. kiedy rzeki i błota pokryją się lodem.

Lecz młodzi marzyli tylko o bitwach, o zwycięstwach, do których miał ich poprowadzić wielki Napoleon...

To też rozkaz marszałka, nakazujący wymarsz wszystkich pod Smoleńsk przyjęli z uniesieniem i radością.

VII.

Smoleńsk.

Wielka armja Napoleońska forsownym marszem zbliżała się do Smoleńska. W przedniej

straży podążyły pułki polskie. W szeregach panowało ogólne przekonanie, że Rosjanie bez boju nie oddadzą miasta, że próbować będą zastąpić drogę i powstrzymać posuwanie się naprzód armji.

Szykowano się też z ożywieniem do stoczenia bitwy.

Przypuszczenia te wkrótce potwierdziły mnogie podjazdy, donoszące:

— Nieprzyjaciel przed nami!

Na czoło armji wysunął się król Neapolu — Murat i rozpytywać się zaczął o położenie i ilość nieprzyjaciela.

Okazało się, że generał Bagration, cofając się ku Smoleńskowi, pozostawił we wsi Krasnoje dywizję generała Niewiarowskiego, złożoną z 8000 ludzi, z kilkoma działami, ażeby powstrzymała pochód armji Napoleońskiej.

W jednej chwili Murat sprawił swe szyki do ataku. Rozległa się komenda:

— Naprzód!.. — i zwartą ławą runęła konnica na cofającego się nieprzyjaciela.

Lecz Rosjanie bronili się mężnie. Zwinieci w kłębek, odpierali każdy atak.

Szarża za szarżą. Murat, na czele walecznej konnicy swojej, wrzyna się w cofające szeregi, szarpie je, urywa...

Napotkawszy silniejszy opór, cofa się, by znów w inne miejsce uderzyć.

I znów szarża... nowy atak... Wysunęła się

wreszcie na czoło konnica rosyjska, by stawić opór, by zasłonić cofanie się reszty dywizji.

Pod tą osłoną generał Niewiarowski spieszenie dokonał odwrotu.

Droga do Smoleńska stała otworem!

Konnica Murata zatrzymała się w pościgu. Na zasłanem trupami ludzi i koni pobojo wisku rozwiera swe paszcze 7 armat—zdobycz tego ataku.

Naraz z ust żołnierzy wybiega okrzyk:

— Dziś imieniny cesarza! Powiedzmy je w darze małemu kapralowi!

W jednej chwili znaczna część oddziału zeskakuje z koni, porywa armaty, pcha aż do obozu, do miejsca, gdzie wznosi się namiot cesarza.

Zielone gałęzie wieńczą gardziele śmiercionośnych narzędzi; pchają je wierne ręce żołnierzy, a reszta oddziału otacza kołem.

Stanęli wreszcie przed namiotem cesarskim. Napoleon wyszedł do wiernych swych wojaków, a wtedy sierżant w darze imiennym ofiarował mu działa owe, mówiąc na zakończenie:

— Daruj, najjaśniejszy panie, za tak mało ci ofiarowujemy, lecz śpieszna ucieczka Rosjan nie pozwoliła nam zdobyć więcej łupów.

Kamienne oblicze Napoleona rozjaśnił uśmiech; odrzekł im krótko:

— Dziękuję wam!

To podziękowanie cesarskie wprawiło wojaków w taki entuzjazm, iż zdało się wprost, że oszaleli.

— Vive l'Empereur! — gromkim okrzykiem wyrwało się z ich ust, a siła okrzyku tego była tak wielką, tak potężną, jakby niem wypowiedzieć chcieli:

— Za ciebie, cesarzu, zginiemy... na twoje skinienie życie oddamy!

Brzmiał ten okrzyk długo, podchwytywały go wnet inne oddziały... gdyż dnia tego obóz francuski święcił wielki dzień imienin Napoleona, dzień 15 sierpnia.

Od samego świtu w całym obozie rozlegało się bicie w bębny, grały orkiestry i wszędzie rozlegały się okrzyki:

— Niech żyje cesarz! — powtarzane w językach wszystkich narodowości, składających wielką armję.

Znów jeden dzień pochodu, strasznego, męczącego pochodu, wśród kurzu, zasypującego oczy drobnym piaskiem, bez kropli wody, którą można ugasić pragnienie, odwilżyć spieczone wargi. A potem noc bez chwili snu, pełna niepokoju, turkotu dział, tętentu kopyt końskich, bicia w bębny i przesuwania się całych kolumn wojska, szykującego się do szturm.

Wraz z pierwszemi promieniami słońca ru-

szły kolumny wojsk francuskich w stronę Smoleńska.

Dzień był jasny, słoneczny, pogodny.

Jeszcze parę godzin pochodu i oczom żołnierzy ukazały się mury miasta, wieżycy świątyń, gmachy i domy, spowite w zieleń, oblane złotem promieniami słońca.

W piersiach żołnierzy polskich żywiej zażyły serca. Toż przed nimi wznosił się gród, o posiadanie którego przodkowie ich nieraz staczali krwawe boje. Gród, pod którego murami niejeden Polak oddał życie, pod którym mnóstwo polskich spoczywało kości. Gród, posiadanie którego okupione zostało morzem krwi i górą trupów!

Płnącymi oczami patrzyli na miasto, przez lat tyle pozostające w polskim władaniu.

I zdało się im, że widzą pod murami jego widmowe postacie rycerzy, z nieśmiertelnej chwały wodzami na czele, wskazujące im drogę do boju, do walki, do nowego, pełnego chwały zwycięstwa.

Potomkowie wojowników tych znów zdobywać mieli ten gród, by otworzyć sobie drogę do dalszych zwycięstw, by położyć niem fundament do odrodzenia Polski, równie świetnej i potężnej, jak dawniej, przed wiekami...

Z niecierpliwością oczekiwali rozkazu uderzenia na miasto, ziejące ogniem dział, roz-

brzmiewające ich hukiem, oraz rzechotaniem salw karabinowych.

Armja rosyjska, pod wodzą generała Rajewskiego, broniła się dzielnie.

Szturm rozpoczęły pułki francuskie pod wodzą marszałków Ney'a i Davoust'a.

Wreszcie ruszyły do szturm i oddziały polskie.

— Naprzód, bracia! — zawołał generał Zajączek, stając na czele pułków pieszych — naprzód!... Zapukamy pierwsi do bramy, by otworzono ją nam i wpuszczono do wnętrza. Lecz zapukamy tak, by daleko echo się rozeszło!

I runęły do ataku hufce polskie.

Książę Józef, stojąc na wzgórzu, obserwował je przez lunetę.

Zasypywane gradem kul działowych i karabinowych, parły naprzód, bagnietami torując sobie drogę, impetem natarcia odrzucając w tył zastępujące im drogę szeregi wojsk rosyjskich.

Pokotem słały się trupy, lecz nic to... na miejsce tych, którzy legli, nowe dążyły szeregi, byle tylko dopiąć swego, byle tylko dotrzeć do muru miejskiego i do bramy zapukać.

W przerażeniu pierzchały oddziały rosyjskie przed tym zastępem straceńców, prących jak szaleńcy pod górę, przed siebie, bagnietami torujących sobie drogę.

I wreszcie gromkie:

— Niech żyje cesarz!—rozbrzmiało od stóp murów miejskich.

Gromada szaleńców przewyciężyła wszelkie przeszkody, pokonała wszelkie trudności, i zdziesiątkowana, przeredzona, stanęła pod bramą miejską, waląc w nią kolbami karabinów, a trąbki rozgłaszać poczęły sygnały zwycięstwa.

Książę Józef, siedząc na koniu nieruchomo, jak posąg, z zachwytem patrzył na ten czyn bohaterski, a gdy posłyszał sygnały tryumfu i zwycięstwa, z ust jego wydarł się pełen uznania i podziwu okrzyk:

— Szaleńcy!

Po dwustu blisko latach znów zagrzmiały pod murami Smoleńska odgłosy trąbek polskich, znów rozległy się okrzyki.

A książę Józef, z niepokojem patrząc w tę stronę, zawołał do otaczających go:

— Na Boga! — trzeba posłać im rozkaz, ażeby wrócili się, gdyż wyginą tam co do nogi!

I wnet pomknął z rozkazem adjutant, lecz ledwie tylko znalazł się na linii strzałów, zachwiał się na koniu i runął z niego, rażony kulą nieprzyjacielską.

Książę Józef spojrział na otaczający go sztab i nie potrzebował wyrzec ani słowa. W chwilę

potem mknął galopem w tę stronę drugi adjutant.

Lecz i tego spotkał taki sam los. I on padł rażony kulą, a za nim drugi, trzeci i czwarty z adjutantów.

I zbrakło już śmiałków, którzyby odważyli się mknąć przez to miejsce śmierci.

Książę Józef obejrzał się po otaczających go, i widząc na twarzach wszystkich zgrozę, rzekł:

— Panowie! kto odważy się ponieść rozkaz tym szaleńcom? Kto pójdzie ratować tych straceńców?

Lecz straszne przykłady poprzednie spariżowały wolę adjutantów, odebrały im odwagę.

Nikt z grona ich nie odzywał się na wezwanie księcia Józefa.

Aż wreszcie rozległ się młodociany głos:

— Ja pójdę!

I z szeregu wystąpił młody oficer w mundurze ułańskim.

To hrabia Heljodor Skórzewski, adjutant generała Fiszera:

Książę Józef spojrział nań badawczo i po chwili kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Jedź i wracaj szczęśliwie!

Hrabia Skórzewski skłonił się i dosiadłszy rumaka, pomknął z kopyta. Dopadł ciągnącego się między miastem a wzgórzem paro-

wu, zeskoczył z konia i ująwszy go za cugle, powoli sprowadził po stromej, spadzistej ścianie.

Toż samo uczynił przy drugiej stronie parowu i pomknął dalej, ku zagrożonym zagładą bataljonom.

Powtórzył im rozkaz księcia i znów też samą drogą puścił się z powrotem do korpusu.

Z zapartym w piersi oddechem śledzili wszyscy jego kroki. Zasypywany gradem kul nieprzyjacielskich, przebył niebezpieczny parów, poczem dosiadłszy rumaka, popędził galopem.

Zbliżywszy się do księcia Józefa, z ręką u czaka, zameldował:

— Rozkaz powtórzony, bataljony cofają się, wasza książęca mości!

A książę Józef, uściskawszy mu rękę, rzekł krótko:

— Dzielnie... dziękuję!

Te dwa słowa uznania z ust ukochanego wodza starczyły za największą nagrodę mężnemu hr. Skórzewskiemu.

I mimo, że kule rosyjskie jak grad go zasypywały, nie odniósł żadnej rany, tylko rumak jego został niemi dwukrotnie rażony.

A tymczasem ze wszech stron do miasta przypuszczono atak.

Ustawione na wzgórzach baterje dział fran-

cuskich ostrzeliwały przedmieścia i mury, a jednocześnie piechota darła się do bram, by zdobyć je, by wyprzeć z miasta przeciwników, by zmusić ich do poddania się i kapitulacji.

Zapanowało istne piekło. Rozległ się wreszcie okrzyk:

— Ustępują!

Zawrzała znów straszna, zjadła walka około bramy Małachowskiej, przez którą Rosjanie wyjść chcieli.

Energicznie odparto ich i zmuszono do powrotu w mury miasta.

Huk dział, rzechotanie salw karabinowych, krzyki i jęki bólu, tworzyły koncert piekielny, a jednak nad tym hałasem potwornym zapanować zdołał potężny krzyk:

— Vive l'Empereur!

To armja witała swego cesarza. Z okrzykiem tym na ustach rzucali się do ataku, walczyli i ginęli ze słabem:

— Vive l'Empereur!

A on jechał na białym arabskim rumaku, otoczony adjutantami, z twarzą spokojną i obojętnie, zimno, patrzył na szeregi tych, których wola jego pchała na śmierć pewną, na tych, którzy walczyli i umierali dla niego i za niego.

Przejechał, popatrzał, rzucił parę rozkazów generałom, przemknął, jak zjawą jaka, a w szeregi jakby nowy duch wstąpił...

Widzieli przed śmiercią cesarza, popatrzał na nich, teraz mogą umrzeć...

— Vive l'Empereur!... zatem i w ogień, w grad kul ognistych, byle tylko cesarzowi temu wywalczyć zwycięstwo.

I tak przez cały dzień trwała ta straszna, zajadła walka!

Nasi przyjaciele, stojąc na czele oddziałów swoich, z niecierpliwości nie mogli dosiedzieć na siodłach, oczekując chwili, kiedy otrzymają rozkaz ruszenia do ataku.

Tam walczą, tam zwyciężają, tam śmierć obfite zbiera żniwo, a oni tu stoją nieruchomo, nie mogąc przyjąć udziału w tej walce.

Zda się, że niecierpliwość jeźdźców udzieliła się i rumakom, gdyż i one przebierają niepokojnie nogami, nie mogąc ustać na miejscu, rwąc się do boju.

Wreszcie ktoś pędzi do nich! To adjutant cesarski... Krótki rozkaz.

Na czele staje książę Sułkowski. Zabłysnęły w słońcu obnażone szable.

— Do ataku! marsz!

Sygnal trąbek. Szeregi konnicy zachwiały się, pochyliły na siodłach i ławą runęły naprzód...

Pędzą drogą, wiodącą ku miastu, a grad kul działowych i karabinowych sypie się na nich.

Coraz też któryś z szeregu zachwieje się na siodle, na ustach krwawa ukaże się piana, z osłabłych dłoni wypada szable i z rozkrzyżowanymi rękami wali się na ziemię.

Kopyta koni idących za nim szeregów depcą go, tratują...

Nic to!... Krótka komenda:

— Szlusuj się! — i oddział pędzi dalej naprzód, byle tylko jaknajprędzej dopaść nieprzyjaciela, byle tylko zmierzyć się z nim w strasznej, krwawej walce...

Dopadli wreszcie... A była to wyborowa jazda rosyjska - kirasjerzy.

Jak o skałę uderzyli o ten mur jeźdźców rozpędzeni strzelcy polscy. Szable ich wzniosły się do cięcia, sieką, mordują... Jak klin wrzynają się w zwartą, zakutą w pancerze kolumnę i jak drzazgi z drzewa wałą się rażeni ciosami szabel jeźdźcy rosyjscy. Lecz i oni darmo nie oddają życia. Szable ich niejedno przedtem zgasiły życie, nieraz się krwią polską zboczyły.

Napróżno jednak się bronią... Nie oprzeć się im rozpędzonej nawale ludzkiej... przełamane szeregi rosyjskie zachwiały się, cofnęły i ustępować poczęły ku miastu, w murach jego szukając ratunku i schronienia.

Oddział polski gna ich, pędzi, siedząc na karkach nieomal.

Wtem rozbrzmiały działa twierdzy, zasypując kulami zwycięskich strzelców polskich.

Dźwięki trąbki. Sygnał do odwrotu. I co-fa się oddział cały ku obozowi, z tryumfem, z radością, i choć przerzedzony znacznie, nie-sie jako dowód zwycięstwa sztandar nieprzy-jacielski, wiedzie jeńców gromadę, wśród któ-rych widnieją szlify oficerskie.

Kapitan Jan, który na samym przedzie od-działu swego uderzył na nieprzyjaciela a któ-ry teraz wracał ostatni, obejrzał się, poszuku-jąc porucznika Stanisława.

Nie dojrzał go nigdzie.

Niepokój jakiś dziwny ścisnął mu serce... gdzież się mógł podziąć ten druh jego ser-deczny? Czyżby legł w boju? A może, zapę-dziwszy się zanadto za nieprzyjacielem, do niewoli przez niego został wzięty?

Nachylił się do dążącego obok wachmi-strza Scepuły i spytał:

— Wachmistrzu, nie widzieliście gdzie po-rucznika Wicherskiego?

— Widziałem, panie kapitanie — odrzekł wachmistrz, przykładając rękę do czaka — wi-działem, jak dążył na przedzie... a siekł, a rą-bał, aż się dusza śmiała, a w niebie to napew-no słyhać było.

— A później? — pytał dalej kapitan z nie-pokojem.

— A później... znikł mi z oczu, musi za-pędził się za Rosjanami, a może też i legł gdzie ranny,

Zafrasował się kapitan Garliński tą odpo-wiedzią. Smutek go zdjął na myśl, że, być może, druh jego leży gdziekolwiek ranny, bez pomocy, bez ratunku. A może też i wzięty został do niewoli?..

Chciał zawrócić, by w stosach leżących na pobojowisku rannych i poległych poszukać go, lecz subordynacja nie pozwalała na to. Jako kapitan, nie mógł dawać szeregowcom złego przykładu.

Ze ściśniętem sercem, smutny, przygnębio-ny, podązał za oddziałem swoim, lecz coraz oglądał się po za siebie, czy druh nie wyrwie się, nie podąży za nim.

Ożywiała go jeszcze trochę otucha, że znajduje się on w przednich szeregach, lecz słaba to była nadzieja...

Wiedział dobrze, że Stanisław zawsze pierw-szy ruszał do bitwy, lecz za to ostatni scho-dził z pola.

A tymczasem walka wrzała zacięta. Rosja-nie nie próżnowali ani chwili. Działa ich gra-ły bez przerwy, ryjąc głębokie szczyby w sze-regach atakujących.

Nie powstrzymywało to jednak tychże. Jak opętane darły się naprzód pułki polskie i fran-

cuskie, parły przed siebie, chcąc przełamać opór nieprzyjaciela, lecz natrafiały na dzielny odpór z jego strony.

Zmierzch już zapadał, gdy nad miastem ukazały się obłoki czarnego, kłębiącego się dymu, wreszcie strzeliły płomienie i niebo całe zapłonęło luną pożaru.

Okrzyk zgrozy wydarł się z ust oblegających miasto wojsk francuskich.

A tymczasem coraz nowe płomienie ukazywały się nad miastem, tuląc je, obejmując w swe sploty.

To Rosjanie podpalili swe magazyny.

I coraz wybuchał nowy pożar, coraz w innej stronie miasta krwawa zjawiała się luna, oświetlając wszystko wokoło.

A przytem działa grzmiały, rzechotały salwy karabinowe, rozlegały się krzyki ludzkie, oraz rżenia spłoszonych koni.

Noc już zapadła, gdy naraz rozległ się znów potężny krzyk przerażenia i już po stronie francuskiej buchnęły potężne płomienie.

To granaty rosyjskie zapaliły wielką cegielnię, do której znoszono ciężko rannych.

Płomienie buchnęły z niej odrazu wielkim słupem i nim szeregi wojsk francuskich zdołały odzyskać przytomność, ogarnęły cały budynek.

Rozległ się okrzyk pełen przerażenia i bólu. Jęki, wołania pomocy i ratunku, wzywania

Boga we wszystkich językach świata, tworzyły piekielny koncert o jakichciś potwornych, nadludzkich głosach.

Posiwili w bojach, zahartowani na wszystko żołnierze napoleońscy, z przerażeniem w oczach, z lękiem jakimś patrzeli na ten straszny obraz.

A tymczasem płomienie ogarniały coraz bardziej cegielnię. Złożeni tam ranni, bezsilni, bezwładni, pieczeni żarem ognia, wili się w mękach bólu, i napróżno wzywali pomocy i ratunku.

Ogień ogarniał ich i po chwili jęki cichły, gasły, aż wreszcie zamierały i tylko słychać było trzask coraz bardziej rozszerzającego się pożaru.

Pierwszy ocknął się z przerażenia stojący w pobliżu pułk polskich strzelców konnych.

— Na Boga, tam ludzie giną! — rozległ się okrzyk w szeregach i nim ktośkolwiek rozkaz wydać zdołał, strzelcy zeskoczyli z koni i rzucili się na ratunek.

Jak burza wpadli do płonącego budynku, nie zważając na ogarniające ich płomienie.

I porywali leżących z skraju samego rannych, jęczących zcicha, nawpół przytomnych z przerażenia.

Wynosili ich na powietrze i znów rzucali się do środka, by ratować pozostałych.

Na czele ich biegł porucznik Habdank, wskazując tych, których wynieść należało, kierując wszystkim, czynnie zajmując się całą tą akcją ratunkową.

— Prędkiej, prędkiej! — naglił swoich podkomendnych, z lekceważeniem niebezpieczeństwa, z pogardą śmierci, rzucających się w największe płomienie, byle z nich wyrwać choć jednego rannego, byle uratować go od pewnej śmierci.

Uratowali ich nie mało, a wielu, wielu jeszcze z pośród tych ginących wyciągało ku nim z płomieni błagalne dłonie.

Wtem rozległ się trzask przeraźliwy.. zagłuszył on wszystko i snop iskier i płomieni strzelił ku niebu.

To krokwie przepaliły się i dach zawalił się w głąb budynku.

Żołnierze polscy zaledwie wyskoczyli z niego, ratując życie, a wkrótce potem rozległ się przeciągły jęk, ostatni jęk konania ofiar, ginących w płomieniach, w męce.

I w tejsze chwili głowy żołnierskie obnażyły się, ręce zrobiły znak krzyża na czole i piersi, a usta wszystkich powtarzać zaczęły:

— Wieczne odpoczywanie racz tym ginącym dać Panie!

A jęk bólu i konania powoli zaciął i tylko

od czasu do czasu pobrzaskiwał ogień nad płonącym budynkiem, będącym jednym wielkim grobowcem...

Jednym z ostatnich wyskoczył porucznik Habdank, opalony, straszny; mundur na nim płonął, tak, że żołnierze z trudem go ledwie ugasili.

Nie zważał na to i z rozszerzonymi z przerażenia oczami powtarzał pobielającymi wargami:

— Boże! Boże!..— i tak myśl jego była zajęta tym strasznym wypadkiem, że nawet gdy jeden z lekarzy pułkowych dotknął jego ramienia, mówiąc:

— Poruczniku! jesteście cali poparzeni, chodźcie, należy was opatrzyć.

Odwrócił ku niemu twarz bólem wykrzywioną i spytał:

— Doktorze! więc niema... niema żadnego ratunku dla tych nieszczęsnych?

— Niestety, poruczniku — odrzekł doktor — niema żadnego. Spłonęli wszyscy... lecz cóż, umarłych się nie wskrzesi; należy raczej myśleć teraz o żywych, i dlatego pozwólcie się opatrzyć.

Przygnębiony temi strasznymi scenami, dał porucznik robić z sobą wszystko, co tylko chciano, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Doktor wnet opatrzył jego oparzenia, oban-

dażował i gdy je skończył, Habdank uściśnił mu rękę, i rzekłszy:

— Dziękuję!— zaczął kłaść czako powierzch obandażowania na głowie, oraz przypasywać szablę.

Doktór spojrział nań ze zdumieniem i spytał:

— Co wam, poruczniku? gdzie się wybieracie?

— Gdzie? — odrzekł spokojnie zapytany — wracam do szeregu.

— Jakto! do szeregu? — zawołał zdumiony doktór — ależ rany? oparzenia?

— Phi... to głupstwo!... bagatelne szramy i sparzenia... do jutra minie... A tam... moi żołnierze... giną w walce... beze mnie...

Spojrział doktór na błyszczące, jak w gorączce, oczy. Widział, że nic z uporem jego nie poradzi, wzruszył więc ramionami i rzekł:

— Róbcie, co chcecie, lecz uprzedzam, że skutki będą oplakane!

Porucznik nie słuchał już słów jego; chwytając się na nogach, szedł wśród szeregów rannych do miejsca, gdzie pozostawił swój pułk. Znalazł go na temże samem miejscu, i ponury, milczący, nie zwracając uwagi na przywitania i pytania towarzyszy, wsiadł na konia i stanął w szeregu.

Walka wrzała, mimo spóźnionej pory. Działa grzmiały bez przerwy, salwy karabinowe rzechotały, dym kłębami przesłaniał pobojo-

wisko, a pożar luną swą rozświetlał znaczną przestrzeń wokoło.

Naraz rozbrzmiał potężny krzyk:

— Vive l'Empereur!

Na siwym rumaku przemknął przed szeregami, otoczony świetnym sztabem — Napoleon. Przystanął przez chwilę na wzgórzu przy strzelcach, popatrzał na walkę, toczoną pod murami miasta, na płonące budynki, rzucił rozkaz jakiś, gdyż w tej chwili adjutant pomknął galopem w stronę baterji księcia Neufchatelu. Potem Napoleon posunął się dalej i zbliżył do dopalającej się cegielni...

Zatrzymał się tam na chwilę, obnażył głowę, a za przykładem jego poszedł cały sztab w milczeniu.

Chwilę trwało milczenie i cisza uroczysta. A wreszcie rozległy się ciche, przerywane jękami bólu, głosy:

— Vive l'Empereur!

To ranni, konający prawie, w okrzyku tym wyrażali cześć swą i uwielbienie dla tego cesarza, dla tego wodza, dla którego umierali.

I płynął ten cichy, jękliwy okrzyk, hen, w dał, ginąc w przestrzeni...

Cesarz złożył pelen czci ukłon tym umierającym bohaterom i ruszał już dalej, gdy na spienionym rumaku dopadł doń adjutant marszałka Davoust i zawołał tak głośno, że posły-

szały go najbliżej stojące szeregi strzelców polskich.

— Najjaśniejszy Paniel! Rosjanie ustępują z miasta... słyhać turkot dział, tentent kopyt końskich i odgłosy stąpania wielu kolumn piechoty!

Rozjaśniło się oblicze Napoleona, i zaciąwszy konia, pomknął naprzód, przed siebie, a za nim podążył sztab.

W ślad za nimi biegł gromki okrzyk gotowych do boju szeregów:

— Vive l'Empereur!

A wtórzły im ciche, jęklive wołania konających:

— Vive l'Empereur!

VIII.

Napoleon i księżę Józef.

Rosjanie opuszczali Smoleńsk.

Po krwawej, zażartej bitwie, okupionej życiem wielu ofiar, cofali się znów w głąb kraju, cofali, pozostawiając drogę otwartą.

Wnet rozległy się rozkazy gaszenia płonących domostw i oddziały francuskie i polskie, wydelegowane specjalnie w tym celu, przystąpiły do pracy.

Idąc po trupach poległych żołnierzy rosyjskich, czerpiąc wodę ze studzien, pomieszaną z krwią poległych, energicznie zabrali się do ratunku, nie napotykając żadnej absolutnie pomocy ze strony napoły obłąkanych z przerażenia mieszkańców miasta.

Miasto musiało być na jutro doprowadzone do porządku, musiało być oczyszczone z gruzów i trupów, gdyż jutro ma je uroczyście zająć cesarz.

Zwijali się też wiarusi, jak mogli, byle tylko z robotą wydażyć.

Tymczasem w sztabie głównym wrzała praca. Przyjmowano gońców, wysyłano rozkazy.

Jedną z najważniejszych czynności było śledzenie, w którą stronę skieruje się armja rosyjska.

Wysłano też za nią odpowiednie oddziały.

Zaszczyt wejścia pierwszymi do miasta przypadł Polakom.

Zaszczytem tym cesarz jakby chciał nagrodzić ich za poniesione w dniu walki wczorajszej ofiary, za męstwo, dzięki któremu Smoleńsk został zdobyty.

A padło w dniu tym Polaków niemało... Przy wieczornym apelu, po skończonym boju, naliczono 1200 poległych szeregowców i 46 oficerów, w tem generała brygady i dwóch pułkowników.

Rannych też była spora ilość...

Wszyscy z podziwem patrzeli na «braves polonais», obsypując ich słusznemi pochwałami.

Cała prawie armja wyległa, by patrzeć na tryumfalne wkroczenie oddziału polskiego do Smoleńska, a on szedł z orkiestrą na czele, z rozwiniętymi sztandarami, upojony tryumfem, radosny.

W oczach żołnierzy widniało wzruszenie. Wszakże mieli wstąpić zwycięzcami do grodu, który tylokrotnie oblegali polscy wiarusi, którzy zdobywali rycerze Batorego i Zygmunta, którego mury tylekroć zboczyła krew polska.

Wśród przyglądających się ciekawie temu wkroczeniu do miasta znajdował się i kapitan Jan Garliński. Lecz myśli jego czem innem były zaprzątnięte.

Od wczorajszego wieczoru, od chwili ukończenia strasznego boju, szukał wszędzie druha swego, porucznika Wicherskiego i nigdzie znaleźć go nie mógł...

Przeszukał i pole walki wczorajszej, gdzie nastąpiło starcie ich z kawalerją rosyjską, obszedł wszystkie lazarety, przechodząc od rannego do rannego, rozpytując się wszystkich, lecz nigdzie, na najmniejszy ślad zaginionego natrafić nie mógł.

Rozpacz go już zdjęła. Pozostawały tylko dwie ewentalności: albo Stach zginął i został już pogrzebany, albo też wzięty został do nie-

woli. I w tym i w drugim wypadku był straconym...

Żal go ogarnął szczery na myśl o stracie druha, z którym już przeszedł tyle i uczynił go obojętnym zupełnie na wszystko, co się działo wokoło.

Stał też, patrząc obojętnie na radość ogólną, gdy naraz poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzał się. Stał za nim, w błyszczącym mundurze, jeden z adjutantów Davoust'a, kapitan Fernier, Francuz, z którym żyli w wielkiej przyjaźni.

— Cóż to, kapitanie, stoicie z tak chmurnem obliczem, gdy wszyscy wokoło radują się ze zwycięstwa? — zapytał go Francuz żartobliwie.

Kapitan Garliński opowiedział mu swe zmarwienie, a Fernier, chwytając go za ramię, zawołał

— Słuchajcie, powracam w tej chwili z głównego sztabu. Przeprowadzono tam dopiero co młodego kozaka, który przybył do naszych przednich straży, mówiąc, że jest Polakiem, wziętym wczoraj do niewoli, który w tem przebraniu ująć zdołał. Nie widziałem go, coprawda, lecz kto wie, czy to nie jest wasz przyjaciel!

Kapitan Garliński nie słuchał go dłużej... Pożegnał go skinieniem głowy i roztrącając

wszystkich stojących mu na drodze, pobiegł do głównej kwatery.

Tam, otoczony sztabem oficerów w błyszczących mundurach, marszałek Davoust rozpytywał o coś młodego kozaka.

Jedno spojrzenie wystarczyło kapitanowi Garlińskiemu, by poznać w nim Stanisława.

Nie zważając też na otaczający ich świetny sztab, ani na przepisy służbowe, przedarł się do niego i rzucił mu się na szyję z radosnym okrzykiem:

— Stach! Stach!...

Marszałek zmarszczył groźnie brew na ten niespodziewany epizod, lecz przywitanie obydwóch przyjaciół było tak serdeczne, że został niem w zupełności rozbrojony.

Zwrócił się tylko do kapitana Garlińskiego z zapytaniem:

— Kapitanie, czy znasz tego zucha?

— Znam—odrzekł zapytany— to porucznik Stanisław Wicherski.

— Bardzo dobrze— rzekł marszałek— zabierz go więc z sobą; a ty, poruczniku, pamiętaj, byś na drugi raz podobnych maskarad nie urządzał, gdyż może się to źle skończyć dla ciebie.

Obydwaj przyjaciele skłonili się marszałkowi i uradowani ze spotkania, ująwszy się pod rękę, skierowali się do obozu.

Przez drogę Stanisław opowiadał przyja-

cielowi swoje przygody. A były one naprawdę niezwykle.

— Uderzony szablą w głowę—mówił on.— ogłuszony tym ciosem, poczułem, że tracę przytomność i zsuwam się z konia... Na szczęście czako osłabiło siłę ciosu, gdyż inaczej miałbym głowę rozwaloną na połowę. Znalazłszy się na ziemi, po pewnym czasie dopiero odzyskałem przytomność. Uniosłem się trochę dla rozejrzenia się w sytuacji. Pole wokoło mnie było puste zupełnie. W oddali tylko wrzała bitwa. Podniosłem się z trudem, by iść do naszych, gdy naraz otoczyli mnie kozacy, i sądząc z moich galonów, że muszę być znacznym oficerem, zabrali do niewoli... Było ich pięciu. Otoczyli mnie kołem, pędząc między sobą, a gdym się zachwiał lub nie mógł iść, ukłuciami pik dodawali mi siły... W ten sposób doprowadzili mnie do przednich placówek swoich. W czasie tym bitwa skończyła się, Rosjanie poczęli ustępować z miasta, noc zapadła...

Kozacy rozpalili ognisko, przy którym rozłożyli się, gotując stawę. Po jakimś czasie trzech z nich dosiedli koni i udali się, sam nie wiem gdzie, a przy mnie na straży pozostało dwóch, z których jeden legł zaraz na spoczynek, drugi zaś czuwał.

Wtedy w głowie mej zrodził się nowy plan. W jednej chwili rzuciłem się na czuwającego

kozaka, schwytałem szablę jego i nim zdołał się spostrzedz—zabiłem go. Odgłos toczony w walki obudził śpiącego. Porwał się na równe nogi, chwilę patrzył na nas, nic nie rozumiejąc, wreszcie rzucił się na mnie...

I tego przyjąłem odpowiednio, tak, że wkrótce leżał obok swego towarzysza... Teraz już mogłem uciekać. Lecz powstrzymywała mnie myśl, że mój mundur oficera polskiego łatwo zwrócić może uwagę krążących wokoło patroli rosyjskich. Ściągnąłem więc śpiesznie z jednego z kozaków ubranie, przebrałem się w nie i dosiadłszy jego konia pomknąłem do naszych placówek. Resztę już wiesz dokładnie.

Kapitan Garliński jeszcze raz uściśnął gorąco przyjaciela i po chwili znaleźli się w obozowisku wojsk polskich.

Z radością przyjęto tam powracających... Wszyscy oficerowie, bez wyjątku, lubili bardzo Stacha, to też powrót jego szczerze ich cieszył.

Po kilkakroć opowiadać im musiał swoje przygody, których słuchali oni z niesłabnącem zajęciem.

W trakcie tego przez obóz przemknął konno książę Józef z nieodstępnie towarzyszącym mu szefem sztabu głównego, generałem Fiszszerelem.

Powracał od cesarza, a oblicze jego było chmurne, a oczy płonęły...

— Oho — szepnęła kapitan Rasowski do towarzyszy, wskazując wzrokiem na jadących—wraca nasz książę od cesarza z miną chmurną. Znow musieli mu intryganci dokuczyć.

— Alboż to brak mu zawistnych—dorzucił podpułkownik Przemyski—pierwszy Zajacek, a drugi Sokolnicki, żeby mogli, toby go w łyżce wody utopili... Knują też przeciw niemu intrygi i dokuczają niemi srodze księciu, który jest bohaterem bez skazy, jak rzadko kto.

— Generał Zajacek — wtrącił kapitan Garliński — mężnie stawał wczoraj. Pierwszy wiódł do ataku oddziały polskie, pierwszy wszedł do miasta, dopóki, rażony kulą rosyjską, nie padł ranny...

— Nie czynię mu też ujemy żadnej — odrzekł podpułkownik Przemyski — mężny to jest żołnierz i dzielnie stawał zawsze, czy to za Kościuszki, czy w legjonach, czy w Egipcie, czy w innych kampanjach. Zawiść go tylko żre, że książę Józef, choć młodszy od niego, jest jego wodzem naczelnym, a on, jako podkomendny, słuchać musi jego rozkazów. A teraz przyłączył się do niego jeszcze Sokolnicki i we dwóch knują intrygi przeciwko księciu.

Książę Józef rzeczywiście powracał od cesarza wzburzony wielce.

Zawezwany do kwatery cesarskiej zaraz po bitwie, udał się tam wraz z szefem sztabu głównego, generałem Fiszerem, pewien, że otrzyma rozkazy co do dalszego pochodu.

Po krótkim oczekiwaniu, dopuszczony został przed Napoleona, który po suchem przywitaniu, zapytał krótko:

— Jaki jest stan wojsk waszych, mości księżę?

— Nieświetny, najjaśniejszy panie—odrzekł księżę Józef, niemile uderzony dźwiękiem głosu i tonem cesarza.

— Jakto nieświetny? — przerwał tenże, stając przed nim w ulubionej pozie i mierząc go badawczym spojrzeniem stalowych swych oczu — cóż jest tego przyczyną?

— Długie przemarsze wśród niepogód, po złych drogach — odrzekł księżę, wytrzymując spojrzenie jego i hamując swe uniesienie — brak odzieży, obuwia, nieprzygotowanie odpowiednie żywności i paszy. Wszystko to złożyło się na to, że wojska polskie nie znajdują się w należyłym porządku.

Chwilę trwało milczenie, wreszcie cesarz wybuchnął:

— Delikaciki... Skarżyć się tylko umiecie, lecz gdy przychodzi do czynu, to was niemal Bohaterzy, trawiliście czas na zabawach, na hulankach, na posadzkach salonów, nie myśląc

o wojsku, i doprowadziliście je do tego stanu. A teraz skargi i żale..

Splonęła rumieńcem twarz księcia Józefa. Wzniósł dumnie głowę do góry i prostując się, wyrzekł przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Najjaśniejszy panie! Polacy... chyba nie-raz dowiedli, że umieją walczyć... że umieją umierać za ojczyznę... nawet w obcej walcząc sprawie... Wszakże i wczoraj dali tego dowód... Zkądże więc ten zarzut... Wszak te braki to tylko wina intendenty francuskiej... Pytałeś, Najjaśniejszy panie, więcem ci odpowiedział. . A żołnierz polski, choć bosy i głodny, zawsze będzie walczyć i umierać za ciebie, boś mu przyrzekł ojczyznę odbudować...

Tu głos księcia, zrazu pełen mocy i siły, załamał się i zachwiał.

Napoleon ze zdumieniem patrzył na niego, wreszcie rzekł:

— A więc po co te skargi i żale? Wracaj, mości księżę, do korpusu swego i pamiętaj, by się one więcej nie powtórzyły!

Księżę pożegnał cesarza ukłonem, a wyszedłszy z kwatery, dosiadł rumaka i wraz z generałem Fiszerem podążył do obozu.

Przez drogę rzekł do tegoż pełnym bólu głosem:

— Nie zdzierzę tego dłużej!... Jutro zaraz podam się do dymisji... Niech inni, godniejsi

ode mnie, prowadzą dalej rozpoczęte dzieło...
Ja dłużej tych zniewag znosić nie mogę!

A na to odrzekł mu generał Fiszer spokojnie:

— Wasza książęca mość nie uczyni tego...

— A to dlaczego? — spytał go książę zdumiony.

— Dlatego, że oczy całej Polski zwrócone są na waszą książęcą mość... nadzieje wszystkich spoczywają tylko na księciu. Ustąpienie jego będzie uważane za klęskę. I cała nadzieja runie... i naród moc swoją i siłę utraci.

Przez chwilę książę wahał się z odpowiedzią, wreszcie wyrzekł:

— Tak... masz słuszność generale... dla Polski... dla ojczyzny wszystko zdzierzę, wszystko wytrzymam!...

Jechali już dalej w milczeniu, a wzrok księcia, jasny, promienny, natchniony, zwrócony był ku gwiazdom...

IX.

Dzień walki, dzień nagrody.

Niedługo trwał odpoczynek walecznych zastępów.

W ślad za uchodzącym nieprzyjacielem wy-

szła Napoleon korpusy Ney'a i Murata, chcąc odciąć im drogę i znieść ostatecznie

Zadanie to było nielada, gdyż Rosjanie mieli wojska względnie wypoczęte i znali drogę dobrze, podczas gdy wojska francuskie były wyczerpane i walką i pochodem.

Lecz Ney nie zważał na to. Lotem błyskawicy puścił się w pogoń za uchodzącym wrogiem i dopadłszy go pod Walutynową Górą, rozpoczął ruch oskrzydający.

Zamiarem jego było otoczyć ze wszystkich stron nieprzyjaciela, odciąć mu wszelkie drogi, łączące go z Moskwą i zmusić do przyjęcia bitwy.

Zawczasu opracowany plan ten miał wszelkie widoki powodzenia, zdawało się, że nieprzyjaciel nie ujdzie zagłady, że zniszczenie armji rosyjskiej położy nareszcie kres morderczej wojnie, że cesarz Aleksander zmuszony będzie przyjąć warunki, jakie mu wspaniało-myślnie podyktuje Bonaparte.

Jak pajak otoczył on Rosjan misterną siecią swych oddziałów, tak, że zdawało się, iż nie zdołają się one mu wymknąć, że przy tem ostatniem spotkaniu czeka ich śmierć i zagłada.

Potrzeba tylko było ściągnąć ostatnie oka tej sieci, by zakończyć dzieło zagłady, by tryumfalnie obchodzić zwycięstwo.

Marszałek Ney z gorączkową niecierpli-

wością oczekiwał tej chwili. Wszystkie pozycje były już zajęte. Dowódcy poszczególnych oddziałów przysłali już raporty o tem, gdy naraż, jak grom, razła go straszna wieść:

— Rosjanie uchodzą! Przeprawili się przez Dniepr i uchodzą drogą na Moskwę.

Marszałek Ney rzucił się jak piorun w ową stronę. Wszak tam powinien był zająć stanowisko marszałek Junot, ks. d'Abrantes.

Dlaczego jeszcze go niema?... dlaczego pozostawił otworem drogę dla uchodzących Rosjan?

Zapóźno już zapobiedz temu, nie sposób powstrzymać nieprzyjaciela, trzeba więc zadać mu choć poważny cios.

Sygnal do boju... i wszystkie oddziały odrazu uderzają na cofających się Rosjan.

Wybuchła krwawa bitwa. Ci ostatni bronią się rozpaczliwie, bronią wysiłkiem ostatnim, byle tylko ująć za Dniepr, byle tylko ocalić życie.

Huk dział, rzechotanie salw karabinowych, krzyki zwycięzców i jęki rannych tworzyły iście piekielny koncert.

Jak klin w stojące murem oddziały rosyjskie wrzynała się jazda francuska pod wodzą Murata, który dzięki swemu fantastycznemu strojowi widocznym był zdaleka.

Bój wrzał... lecz toczyła go już tylko tylna straż armji rosyjskiej. Przednie oddziały, pod

osłoną dział dokonywały przejścia przez Dniepr i kierowały się drogą do Moskwy, zachowując prawie że w całości działa swe i tabor.

Noc wreszcie położyła kres bitwie.

Marszałek Ney, rozsierdzony niepowodzeniem tak misternie ułożonego planu, dokonywał obliczenia strat poniesionych...

Były one poważne.

Francuzi stracili około 8000 ludzi w zabitych i rannych, przyczem legł na placu boju waleczny generał Gudin.

Z ust marszałka posypały się klątwy na głowę Junota, który, jak doniosły późniejsze raporty, zbłądził i nie mógł odnaleźć wyznaczonego sobie stanowiska.

A Rosjanie tymczasem uchodzili...

Ponieśli stosunkowo nieznaczne straty, gdyż zginęło ich około 5000 ludzi.

Pościg za nimi byłby teraz bezowocnym, gdyż zastaniały ich sine fale Dniepru.

Marszałek Ney, zły wielce, nakazał odwrót, niosąc Napoleonowi wieść o tem zwycięstwie-porażce, odniesionej dzięki dziwnej opieszałości Junota.

A cesarz od pewnego czasu czuł się w dziwnem usposobieniu.

Uczuwał jakby jakąś dziwną potrzebę nagradzania ludzi, odznaczania ich za czyny pełne bohaterstwa w czasie walk ostatnich.

Nakazany został dłuższy odpoczynek pod murami Smoleńska dla nabrania sił do dalszego pochodu i dalszych walk.

Codziennie też odbywał się przegląd jednego z korpusów armji, przyczem na walecznych żołnierzy sypał się grad orderów i nagród.

I tak przeglądał on jeden korpus za drugim, aż wreszcie nadeszła kolej na korpus V, polski.

Zawrzało w nim jak w ulu... Bohaterowie z pod Smoleńska pokazać się chcieli cesarzowi jednako chwackimi w czasie przeglądu, jak na placu boju.

Czyszczono więc mundury i broń, naprawiano odzież mocno sfatygowaną długim pochodem, starano się wszystko doprowadzić do porządku, by sprezentować się jak na rewji.

Do pioruna! cesarz robi dziś przegląd! cesarz!... Nie wolno, ażeby były jakiegokolwiek braki i niedokładności, gdyż bystre oko jego wnet je spostrzeże.

Starzy więc wiarusi gorączkowo dopomagają młodemu w doprowadzeniu do porządku mundurów i broni, sami ich lustrują, poprawiając niejedno, wskazując przeróżne braki i niedokładności.

Wreszcie wszystko skończone.

Na olbrzymim placu, tuż prawie obok zrujnowanych szturmem murów miasta, ustawił się

w porządku cały korpus, a na czele jego stanął książę Józef ze sztabem swoim.

Drzenie pełnego niecierpliwości oczekiwania przebiegło przez szeregi.

Kiedyż nareszcie nadjedzie ten cesarz?... Kiedyż dokona on tego przeglądu?

Wszyscy stoją wyprostowani jak struny... Czekają...

Nareszcie sygnał trąbką i w oddali ukazuje się postać jadącego na białym rumaku cesarza, otoczonego błyszczącą świtą.

Zagrzmiały orkiestry marszem powitalnym, a on lekkim galopem przejechał przed wyprostowanymi, jak struna, szeregami.

Ogarnął je bystrem spojrzeniem, a potem przejeżdżać zaczął od jednego oddziału do drugiego.

Za nim podążał sztab cały. Cesarz zatrzymywał się przed każdym oddziałem i zwracał się do ich dowódców z żądaniem, by wymienili mu najgodniejszych nagrody.

Dowódcy wymieniali ich i wnet na oddział sypał się grad nagród i nominacji...

Tak zatrzymał się przed oddziałem Aleksandra Maksymiljana Fredro.

— Wymień mi, majorze, najgodniejszych i najzasłużeńszych do nagrody! — zwrócił się do niego.

Major wystąpił naprzód i wymienił kilka nazwisk.

— Dobrze — rzekł cesarz i naraz, zwracając się do stojącego na czele swego plutonu młodego porucznika, spytał nagle:

— Kto pan jesteś?

— Jestem porucznik Dembiński — odrzekł zapytany, sploniony cały.

— Mianuję cię kapitanem — odrzekł cesarz i pomknął dalej, po chwili jednak zawrócił i zbliżając się do niego zapytał powtórnie:

— Kto jesteś?

— Porucznik Dembiński — odrzekł zdumiony tem młodzieniec, powtarzając swą poprzednią odpowiedź.

— Ależ nie—odpowiada mu cesarz—jesteś przecież kapitanem, w tej chwili właśnie cię nim mianowałem.

I pomknął dalej, a w ślad za nim biegły błyszczące rozradowaniem oczy młodego porucznika.

Tak przejeżdżał od oddziału do oddziału, wszędzie syjąc orderami i nominacjami, aż wreszcie zatrzymał się przed oddziałem, pod sztandarami którego służył porucznik Habdank.

Stał przed nim i mierząc go badawczem spojrzeniem, rzekł:

— Widziałem cię... Kto jesteś?

— Porucznik Habdank — odrzekł zapytany, przykładając rękę do czaka.

A cesarz, patrząc na spowijające głowę jego bandaże, spytał:

— Ranny! W jakiej bitwie?

— Przy ratowaniu rannych z płonącej cegielni, najjaśniejszy panie — odrzekł zapytany.

Przez chwilę przyglądał mu się cesarz badawczo, wreszcie rzekłszy:

— Dobrze... bardzo dobrze — odpiął krzyż legii z własnej piersi i przypiął mu go.

Zapłonęło oblicze porucznika, a oczy jego zaiskrzyły się.

— Najjaśniejszy panie—zaczął mówić przywanym głosem — ja nie dlatego.. ja dla Polski... dla Ojczyzny...

— Eh bien — odrzekł mu cesarz z lekkim uśmiechem będzie i Polska... będzie!

I dotknąwszy konia ostrogami pomknął dalej, pozostawiając wprost wniebowziętego słowami jego porucznika.

Dnia tego istny grad odznaczeń i nagród posypał się na korpus polski.

Napoleon, jakby czując jakąś dziwną potrzebę nagradzania, jakby pragnąc wiernym polakom swoim wynagrodzić krzywdę jakąś, obdarowywał wszystkich.

Wywołało to w szeregach polskich niezliczone komentarze i uwagi; namyślano się nad tem i wreszcie dzień ten nazwano dniem ekspiacji Bonapartego.

Tegoż dnia wieczorem ksiązę Józef, do-
siadłszy konia, udał się wraz z szefem sztabu
swego, generałem Fiszerem do głównej kwa-
tery.

Przyjął go marszałek Berthier i wraz z mar-
szalkiem Davoust i generałem Fiszerem wpro-
wadził do gabinetu cesarza.

Napoleon był w wyśmienitym humorze i na-
der łaskawie przyjął przybyłych.

Jakby chcąc księciu Józefowi wynagrodzić
krzywdę, wyrządzoną mu przed kilku dniami,
uściskał go serdecznie i zaczął rozpytywać
o różne szczegóły.

Ksiązę Józef zwięźle i jasno odpowiadał mu
na pytania, wreszcie przystąpił do wyluszcze-
nia powodów, które go skłoniły do przybycia.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł głosem peł-
nym szczerości — pozwól korpusowi polskiemu
odłączyć się od wielkiej armji. On i tak jest
tam niepotrzebny, siły twe wystarczą w zupeł-
ności, by pokonać nieprzyjaciela i ostateczny
cios mu zadać. Pozwól mu iść teraz na Wo-
łyń, na Podole, do Kijowa. Tam ludność cała
czeka, by za ukazaniem się naszym jąc za broń
i połączyć się z nami.. Najjaśniejszy panie,
tam kraj bogaty, śpichlerze obficie zaopatrzo-
ne są we wszystko. Stamtąd armja twa cała
otrzymywać będzie żywność, wszystko, co jej
potrzeba... Najjaśniejszy panie! wyrzecz tylko
rozkaz, a korpus polski pójdzie, by kraj ten

przywrócić Koronie i poddać twej władzy...
Wysłuchaj prośb naszych i mieszkańców tam-
tejszych, którzy naszego przybycia oczekują
jak zbawienia!

Napoleon zmarszczył chmurnie czoło, a błys-
kawica gniewu mignęła w jego oczach.

Groźne spojrzenie utkwil w twarzy księcia
i rzekł:

— Mości ksiązę, na projekt ten nigdy nie
przystanę.

A wtedy ksiązę Józef, ten potomek rodu
królewskiego, ten rycerz w bojach osiwiwały,
ukochany przez naród cały, ugiął kolano przed
dumnym korsykaninem, młodszym wiekiem od
siebie, a niższym daleko rodem, i błagalnym
głosem rzekł:

— Najjaśniejszy panie!... przez usta moje
przemawia cały naród polski, który w tobie
tylko jednym widzi ratunek swój i zbawienie!
Tyś mu przyrzekł odbudować Polskę i on wie-
rzy, że przysięgi swej dotrzymasz... Lecz po-
zwól i jemu przyłożyć rękę do czynu tego,
pozwól, by i on mógł ponieść oczekującym
braciom radosną wieść o twem przybyciu.
Błagamy cię o to...

Tu postać Napoleona przeobraziła się cał-
kowicie.

Oczy mu się zaiskrzyły... Pochwycił księ-
cia za ramię i głosem podniesionym zawołał:

— Mości ksiązę!... Pozbądź się tychmyśli

buntowniczych! Ostrzegam cię, gdybyś nie chciał być mi posłusznym, gdybyś na własną rękę chciał podjąć tę wyprawę, ogłoszę cię za buntownika i stosownie do tego z tobą postąpię!

A widząc, że i na obliczu księcia Józefa zaczęły się ukazywać oznaki gniewu, wnet złagodniał i zmieniając ton głosu, rzekł już znacznie spokojniej:

— Mości książę! pamiętaj o swej przysiędze... pamiętaj o słowie honoru!

A książę Józef, ukrywając twarz w dłoniach, odrzekł głuchym głosem:

— Tak... przysięga... słowo honoru... nie złamię ich!... Polak zginie raczej, niż je złamię!...

I porwawszy się z kolan, bez słowa pożegnania, wypadł z komnaty, by dosiadłszy rumaka popędzić cwałem do stanowisk wojska polskiego.

General Fiszer z trudem mógł za nim nadążyć.

A marszałek Davoust, który był milczącym świadkiem całej tej sceny, po wyjściu jego podszedł do cesarza i rzekł:

— Złeś uczynił, najjaśniejszy panie, nie usłuchawszy rady tego bohaterskiego księcia. W razie odwrotu miałbyś zapewnione schronienie w kraju bogatym i obficie zaopatrzonym w żywność.

A Napoleon, prostując dumnie swą niską postać, odrzekł mu na to:

— Odwrót!... Kto mówi o odwrocie?.. Armja francuska, pod moją wodzą, nie zna tego wyrazu!

X.

Szlakiem Żółkiewskiego.

Sześć dni trwał wypoczynek pod Smoleńskiem.

Sześć dni ważyły się losy dalszej kampanji.

Napoleon miał przed sobą do wyboru trzy drogi...

Jedna z nich wiodła na północ do Petersburga.

Tam było centrum władzy, tam mógłby zadać najsilniejszy cios Rosjanom, zagarniając ich stolicę.

Druga wiodła na wschód, do Moskwy... tej prastarej stolicy Rosji. To było serce jej, i zdobycie tego grodu mogło być śmiertelnym ciosem dla narodu rosyjskiego.

Widzieć u nóg swoich pochylonych w porozie bojarów, najstarożytniejsze rody rosyjskie,

rozkazywać im i stamtąd groźny wzrok kierować jeszcze dalej... hen, na wschód, ku Indjom...

I porwany fantazją umysł Bonapartego rozsnuwał mu przed oczami tak czarowne obrazy, tak cudne, jak z baśni wschodniej.

Tak, zdobycie Moskwy będzie godnem uwieńczeniem jego wyprawy.

Prawda, że koło uszu brzęczały mu, jak uparta mucha, słowa, które niegdyś zasłyszał w Wilnie od generała Balaszowa:

— Drogę do Moskwy wybrać można, jaką się chce. Karol XII obrał drogę przez Połtawę...

Karol XII!.. Czyż tenże może się nawet równać z nim, zdobywcą świata! Z nim, który jeszcze nie napotkał przeciwnika, zdolnego do stawiania mu oporu. On Połtawy mieć nie będzie... Wszak wojska rosyjskie składają broń przed armją jego.

Prawda... jest jeszcze trzecia droga... na Kijów. Wspominał mu nawet o niej ten zapaleniec, ksiązę Józef Poniatowski, wiecznie tę swoją Ojczyznę mający na ustach, o niej tylko marzący, dla niej poświęcający wszystko.

Cóż jego, wielkiego Napoleona, obchodzić może ta jakaś ojczyzna jego, ta jakaś Polska! Zechce, przywróci ją, odbuduje... Zechce, daruje ją któremu ze sprzymierzeńców swoich, choćby nawet cesarzowi Aleksandrowi, z któ-

rym obecnie toczy wojnę, i na zawsze zetrze imię Polski z oblicza ziemi. Uczynić to może, mocen jest... Łudzi teraz Polaków tą obietnicą, bo mu są potrzebni... Dostarczają mu wszystkiego, ostatni grosz oddają, wszyscy idą w pole, dla tej swojej ojczyzny. A bitni są, waleczni... w niczem nie ustępują starej gwardji jego...

I znów umysł cesarza powraca do uporczywej myśli:

— W którą skierować się stronę?

I wzrok jego pada na olbrzymią mapę Rosji, rozłożoną na stole. Jak magiczny punkt jaki ńęci go widniejący pośrodku krążek, przy którym czerni się napis: Moskwa.

Wpatruje się w niego, jak oczarowany, wreszcie wskazując nań palcem, mówi do otaczających go marszałków:

— Wydać rozkazy! wyruszamy w pochód jutro... do Moskwy!

Marszałkowie w milczeniu skłonili mu się, i wyszli, by wydać odpowiednie rozkazy do pochodu.

Napoleon został.

Podparłszy głowę rękami, siedział wpatrzony w mapę, w ten magiczny krążek, oznaczony napisem Moskwa, i rozmyślał...

Co go tam czeka? zwycięstwo i chwała, czy też może zmiana fortuny?

Złowieszczy głos jakiś podszeptował mu dalszy ciąg tych rozmyślań: zguba!

Odpychał jednak od siebie to ostatnie, złowieszcze przypuszczenie, lecz mimowoli stawał mu na pamięci smutny los Karola XII go, poprzednika jego w wyprawie na Moskwę.

A tymczasem ze wszech stron nadchodziły przeróżne wieści.

To od strony Rygi, gdzie działał korpus X, pod wodzą marszałka Macdonalda. Tam Prusacy pojedyncze tylko utarczki staczali z Rosjanami, o zdobyciu jednak miasta nikt nie myślał poważnie.

Nad Dźwiną znów działał z korpusem swoim Oudinot, księżę Reggio. Z rozkazu cesarza przepędził on generała Witgensteina, z jego korpusem, za Dźwinę. Z Połocka wyruszył on w ślad za nim do Pskowa starym szlakiem Batorowym. W dniu 31 lipca stoczył z nim bitwę zaciętą pod Jakubowem, i choć nad nieprzyjacielem miał przewagę, uznał się za pokonanego, nakazując odwrót ku Połockowi.

Wielka armja, w miarę oddalania się swego od naczelnego wodza, który tylko jeden potrafił tchnąć w nią duszę i odwagę, i śmiałość, i męstwo — traciła wszystkie te zalety swoje, i stawała się słabą, bezsilną, nawet pod wodzą najmężniejszych generałów.

Tak było i z Oudinot. W Połocku połączył się z generałem Gouvion-Saint Cyr, i z tak

wzmocnionemi siłami, zgodnie z rozkazem cesarza, uderzył na Rosjan.

Nieprzygotowani do bitwy, ponieśli dotkliwą klęskę. Stracili prawie że 5500 ludzi — i uszli w popłochu. W zamęcie bitwy, gdy kirasjerzy rosyjscy uderzyli na tyły armji francuskiej, generał Gouvion-Saint-Cyr o mało co nie zginął. Prawda, nagrodził go za to buławą marszałkowską. Lecz nie odpowiedział on pokładanym w nim nadziejom. Nie wyzyskał zwycięstwa. Nie rozproszył pobitego nieprzyjaciela, nie ścigał go...

Nie lepiej się działo na prawem skrzydle Wielkiej armji, na Wołyniu i Polesiu, gdzie przeciwko korpusowi generała Tormasowa działały dwa korpusy: austryjacki księcia Schwarzenberga i saski generała Reyniera.

Lecz lekceważył on sobie te kresy. Cóż one znaczyły wobec bezgranicznych obszarów, które roztaczały się przed nim? Nakazał też Schwarzenbergowi posuwać się za Wielką armją, a tylko 17000 korpusu saskiego miały osłaniać Księstwo Warszawskie przed przewagą Rosjan.

A cóż mu po tem Księstwie?... Wycisnął z niego wszystkie soki żywojne, jak z cytryny, i teraz rzucić może... na pastwę losu, na łup wszystkich. Wszakżeż zmogli się, wystawili mu 85,000 żołnierza, ostatni grosz oddali dla tej swojej Ojczyzny.

A teraz panowała tam nędza... Wszakże generał Wielhorski, zastępca księcia Józefa w ministerjum wojny, pisał w swych raportach:

«Głód, golizna, coraz się bardziej powiększają; jeżeli cesarz nie przyjdzie nam w pomoc kilkunastu milionami, nowy cud świata okazemy, to jest bankructwo, obok powstania narodu».

Mówiono mu nawet o tem. Lecz cóż znać Polacy na szachownicy życia jego. Marne pionki, które wszechmocną wolą swoją zgnieść może, gdy już nie będą mu potrzebne.

Nakazał też im mimo to nowy pobór rekruta, nie zważając na skargi, że nowego żołnierza niema za co ubrać i żywić.

A Tormasow tymczasem, korzystając ze słabości korpusu Reyniera, stojącego w Prużanach, zgromadził koło Łucka 38000 regularnego żołnierza, 4000 kozaków i 164 armaty, zamierzając wpaść z tem do Księstwa Warszawskiego. Zajął już nawet Brześć, pod Kobryniem rozbił brygadę generała Klengla, zbliżał się ku Warszawie.

Reynier cofnął się ku Słonimowi, gdzie połączył się z nim ks. Schwarzenberg i razem już ruszyli na Tormasowa. Pod Horodecznem natarły na tegoż dnia 12 sierpnia połączone siły sasko-austriackie, lecz mimo znacznej

przewagi liczebnej, nie zadały mu poważnej klęski i pozwoliły cofnąć się w porządku.

Wie dobrze Napoleon, że wielką rolę w tym wypadku odegrały dukaty rosyjskie, hojnie przesyłane Schwarzenbergowi... Zżyma się na myśl o tem, lecz nic uczynić nie może, żeby nie narazić sobie sprzymierzeńca, żeby nie zrobić sobie z niego jawnego wroga.

Śle więc z Smoleńska rozkaz księciu Basano, aby Księstwo wysunęło tam korpus kilkutysięczny dla wywołania insurekcji. Na czele tego dzieła stanąć miał generał Amilkar Kosiński.

Wielki cesarz zapóźno zrozumiał, że źle zrobił, nie przyjmując propozycji księcia Józefa. Żal jednak był już po niewczasie...

Prawda, pozostał jeszcze generał Dąbrowski...

Stary wódz i twórca legionów ma sobie powierzone ciężkie zadanie. Z dywizją swoją strzeże on szlaku Dniepru, Berezyny i Prypeci, którym wojska rosyjskie mogłyby wpaść na tyły armji francuskiej.

Wyparł z Litwy generała Oertela, zamierzał już stanąć w Ihumeniu i stąd, wysyłaniem ruchomych oddziałów, osłaniać część kraju między Prypecią a Dnieprem, skąd rozkaz księcia Wagram odwołał go pod Bobrujsk, celem przyjęcia udziału w oblężeniu tej twierdzy, pozostającej w ręku rosyjskiem.

Taki był stan rzeczy.

Napoleon przepatruje go swoim bystrym umysłem i coraz cięższe chmury gromadzą się na jego czole!

Rozkazy już wydane...

Kości zostały rzucone, los pokaże, czy do brze, czy zapewnią mu one wygraną...

Lecz do tej pory zawsze mu los ten sprzyjał.

Wyprawa na Moskwę będzie tylko spacerem... Jedna walna zwycięska bitwa z uchodzącym wciąż nieprzyjacielem, tryumfalne wkroczenie do stolicy, a potem... potem podyktuje już cesarzowi Aleksandrowi warunki takie, jak mu się podoba...

Za parę tygodni na czele zwycięskich wojsk swoich wracać będzie do Francji.

Kto to mówił o przezimowaniu w Rosji?... O potrzebie zaopatrzenia armji w kozuchy?... Ach, to książę Bassano, idąc za radą Litwinów, podał ten projekt marszałkowi Berthierowi... Lecz teraz trwają jeszcze upały letnie... Trwać będą, gdy powracać będą do ojczyzny zdobywcy Moskwy!

I ożywiony tą myślą, wydaje rozkazy co do wymarszu.

W przedniej straży idą korpusy Murata i Davoust'a. Prawe skrzydło stanowi V korpus księcia Poniatowskiego, a na samym końcu, w pohańbieniu, za karę, wlecze się korpus księcia Junota d'Abrantès.

To kara za spóźnienie się, kara, która rozpoczęła się spędzeniem nocy na okrytem trum-pami pobojuwisku.

Wojska francuskie rozciągnęły się długą linią na drodze, wiodącej do Moskwy.

Szły naprzód, przed siebie, jakby ożywione i natchnione temi samemi nadziejami, co i ich wódz...

Polaków zaś, prócz tego, jeszcze i inne przejmowały uczucia.

Wszakże szli tą samą drogą, którą przed laty postępował polski hetman Żółkiewski, wiodąc na Moskwę zastępy polskie, by na tronie carów osadzić królewicza Władysława.

Ze wzruszeniem przyglądali się rozsianym po drodze miejscowościom, przypominającym im ten sławny pochód.

Oficerowie pouczali żołnierzy, objaśniali im wszystko szczegółowo.

Droga sama nie należała do nazbyt przyjemnych. Wiodła ona przez błota i lasy, częstokroć bez żadnego śladu mieszkań ludzkich.

Po obu stronach drogi ciągnęły się olbrzymie bory, gęste, ciemne, pełne tajemnic, pełne ciszy, wzbudzające zabobonny lęk i przerażenie. Z trwogą też spoglądali na nie żołnierze francuscy, nie przywykli do podobnych borów w swojej ojczyźnie.

A Rosjanie tymczasem cofali się bez przerw... Cofali się, jakby chcąc bez boju oddać stolicę.

Postępowanie ich stawało się coraz dziwniejszem i coraz głębsza zmarszczka przecinała czoło Napoleona.

Trzy dni już trwał ten marsz, gdy Rosjanie zatrzymali się w Dorohobużu i zaczęli sypać tam szańce i reduty.

Iskrą elektryczną przebiegła między armją francuską wieść, że przyjdzie nareszcie do ostatecznej bitwy, że zetrą się wreszcie z uchodzącym nieprzyjacielem... Lecz nadzieje ich spotkał zawód.

Gdy forsownym marszem zbliżyli się do Dorohobuża, Rosjan nie było już ani śladu... Cofali się w porządku ku Moskwie, pozostawiając tam ślady swej bytności pod postacią usypanych szaniców i redut.

Toż samo zaszło i pod Carewo-Zajmiszczem, miejscowością, skąd przed dwustu prawie laty wyruszył hetman Żółkiewski na sławną potrzebę Kluszyńską.

I tam znaleziono usypane szańce, i tam widać było przygotowania do stoczenia boju.

Jednocześnie poczęły krążyć wśród wojska głuche wieści o zmianie naczelnego wodza rosyjskiego, o zmianie, wywołanej niezadowole-

niem narodu z powodu ciągłego cofania się armji.

Oczekiwanie bitwy przejmowało wojska francuskie gorączką, wzniecało podniecenie radosne.

Szczuple zaprawdę, dzięki poniesionym stratom i pozostawionym po drodze oddziałom, siły Napoleona były w chwili tej w całości przeniknięte duchem bohaterskim. Przewyciężano wszystkie, największe nawet przeszkody. Braknących sił dodawał często odgłos strzałów działowych, dochodzący od przedniej straży, ucierającej się z nieprzyjacielem.

Korpus polski, który kroczył bocznemi drogami, należał do liczby tych, które najwięcej ucierpiały podczas tego trudnego i ciężkiego pochodu.

W tych warunkach, w silną niepogodę, zdołano w dniu 1 września dotrzeć do Gżacka... Zatrzymano się tam, by wypocząć. Przywrócono porządek, rozluźniony podczas marszu, doczekano się przybycia zapóźnionych żołnierzy.

W dniu 2 września dokonano obliczeń sił Napoleona. Wynosiły one 90507 piechoty, 29129 jazdy, 15493 artylerji; ogółem 135219 ludzi. Dział posiadano 587.

Ogromne więc straty poniesione zostały w ostatnich bitwach i podczas pochodu.

Korpus polski zaś liczył wszystkiego 8340 piechoty, 1658 jazdy, 36 dział artylerji polowej, 18 dział pułkowych, 6 artylerji konnej. I on też poniósł znaczne straty dzięki trudnościom pochodu.

W obozie pod Gzackiem potwierdziła się wieść o nominacji nowego wodza wojsk rosyjskich.

Mianowany nim został feldmarszałek Kutuzow, którego Napoleon już raz pokonał na polu bitwy pod Austerlitz. Wsławił się on potem w bojach z Turkami i obecnie głos narodu rosyjskiego powoływał go na wodza naczelnego, zamiast znienawidzonego za swe cofanie się bez końca generała Barclay de Tolly.

Przeciwko temu podnosił się ogólny głos niechęci; z powodu jego cudzoziemskiego pochodzenia pomawiano go nawet o zdradę.

Panowało też ogólne przekonanie, że nowy wódz, chcąc potwierdzić pokładane w nim nadzieje, nie będzie już odstępować, nie będzie dłużej zwlekać z wydaniem stanowczej bitwy.

Od niej zależało podtrzymanie dawnej sławy jego, podniesienie upadającego ducha w narodzie.

Też same przekonania panowały i wśród Francuzów.

Ogłoszono więc w obozie wielkiej armji rozkaz cesarski, nakazujący wojskom zaopatrzyć się w żywność, skompletować naboje, przygotować się do stoczenia bitwy.

Wszczął się ruch. Generałowie na gwałt musztrowali i ćwiczyli żołnierzy, wybierając najsprawniejszych. Znać było gorączkowe podniecenie w przededniu krwawego boju, który miał rozstrzygnąć o losach wojny; wojsku wróciła dawna rzeźkość, dawna buta i pewność siebie.

Uderzą więc wreszcie na nieprzyjaciela, by bagnetem utorować sobie drogę do stolicy Rosji.

W dniu 4 września, o godzinie 5 rano wyruszyły wojska francuskie z miejsca obozowania swego i podążyły w stronę Borodina.

XI.

Borodino.

Nowy wódz rosyjski, po objęciu dowództwa, nie odrazu zdecydował się na stoczenie bitwy, przez czas pewien cofał się jeszcze, aż wreszcie za odpowiednie do niej uznał pole, ciąg-

nęce się pod wsią Borodino, między rzekami Kołoczą i Moskwą, o sto wiorst prawie od prastarej stolicy carów.

Wnet tam wzniesiono fortyfikacje i reduty, umocniono je działami i czekano na nadejście nieprzyjaciela.

O świtaniu dnia 5 września stanęły naprzeciwko siebie dwie wrogie potęgi... Stanęły groźne, najeżone bronią, gotowe do walki na śmierć i życie.

Cesarz Napoleon, zatrzymawszy się w klasztorze w Kołocku, ze wschodem słońca dosiadł konia i zaczął objeżdżać pozycje.

Obejrzał je dokładnie, zlustrował wszystkie reduty i fortyfikacje rosyjskie i z ust jego padł rozkaz:

— Ruszać do ataku! Zdobyć dziś redutę Szewardyna!

Rozkaz ten pobiegł z korpusu do korpusu i wnet kolumny zaczęły się szykować do ataku.

Przed szeregami odczytano proklamację cesarską i powoli posuwać się zaczęły naprzód groźne zastępy francuskie, pod wodzą wice króla włoskiego, ks. Eugenjusza, Compansa, Murata i ks. Poniatowskiego.

Zrazu rozległ się pojedynczy huk działa, potem zabrzmiał drugi, trzeci i wreszcie ryknęły wszystkie baterje, tworząc potworny, ogłuszający koncert, ziejąc ogniem i dymem, plu-

jąc na wszystkie strony gradem kul i kar-taczy.

Korpus polski, który od samego wyjścia ze Smoleńska, szedł na prawem skrzydle, w tej-że samej pozycji stanął i naprzeciwko nieprzyjaciela.

Otrzymawszy rozkaz cesarski atakowania reduty Szewardyna, Polacy pierwsi rzucili się do boju.

Przed gotowymi do ataku szeregami pojawił się na koniu ks. Józef, i ze wzniesioną do góry szablą, dźwięcznym swym głosem zawołał:

— Naprzód dzieci! do ataku! Pokażmy, jak to Polacy zwyciężać umieją!

A z piersi żołnierskich wyrwał się okrzyk:

— Niech żyje ks. Józef!

Pochyliła się naprzód błyszcząca linja bag-netów i murem runęły szeregi polskie w stro-nę ziejącej ogniem reduty.

Za niemi dążyła konnica, odpierając natar-cia uwijających się wokoło oddziałów pie-choty.

— Naprzód! naprzód! — brzmi komenda i sal-wa karabinowa za salwą rozbrzmiewają doko-ła, zagłuszane przez donośny huk dział.

Silna kolumna piechoty nieprzyjacielskiej sznurem wyciągnęła się przed atakującą ko-lumną polską i razi ją strzałami, gradem kul zasypuje...

Komenda:

— Szluszuj się! — i korpus polski, nie zważając na kule, jak mur sunie naprzód, strzałami odpowiadając na wystrzały i wreszcie z gromkiem:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje ks. Józef! z bagnietami wysuniętymi naprzód, rzuca się na nieprzyjaciela, kryjącego się wśród chat wioski Pasażewa.

Zawiązała się zajadła walka na ciasnej, z dwóch stron zabudowanej domami uliczce wioski.

Rosjanie każdy prawie z budynków zamienili w fortecę, syjąc z okien jego gradem kul na szturmującą kolumnę polską.

Walka toczy się zajadła... Żołnierze polscy, podnieceni nią, rozgorączkowani oporem, rzucają się kolejno na każdy z domów, i po krótkiej, zaciętej utarczce zdobywają go, okupując zwycięstwo to znaczną ilością ofiar.

Powoli posuwano się naprzód.

Dom za domem poddawał się wtedy do piero, gdy obrońcy ostatni nabój wystrzelili, gdy ostatni z nich padł ranny lub martwy.

Wreszcie zdobyto ostatni dom!

Zajęli go Polacy i z gromkim okrzykiem:

— Niech żyje cesarz! — runęli naprzód, do ciągnącego się poza wioską lasu.

Lecz tam właśnie schroniły się niedobitki kolumny rosyjskiej.

Za każdym z drzew ukrył się strzelec i celnym strzałem raził nadbiegających.

Ksiązę Józef powstrzymał wszystkie swoje siły, nie chcąc narażać ich na próżne straty.

— Trzy bataljony naprzód, marsz, do ataku! — rozlega się komenda, i trzy bataljony oddzielają się od korpusu i biegnąc kłusem wpadają do lasu, rażąc bagnietami kryjących się poza drzewami nieprzyjaciół.

Niejeden z zuchów polskich padł na ziemię, rażony kulą rosyjską, lecz też ze strzelców rosyjskich ani jeden z życiem nie uszedł z tej walki.

Lasek zdobyty, lecz jeszcze nie skończone krwawe zadanie dnia dzisiejszego.

Tuż za nim wznosi się wzgórze wysokie, a na niem ustawiona baterja dział rosyjskich, zionie ogniem, zasypuje przestrzeń między laskiem a wzgórzem gradem kul...

Lecz nic to dla wiarusów polskich.

— Naprzód, marsz, wiaral!... naprzód!...

I drą się jak opętańcy na to wzgórze, choć kule ryją w ich szeregach głębokie szczyrby, choć kładą się pokotem, rażeni śmiertelnym ciosem...

— Naprzód!... naprzód!... — grzmiały sygnały, oficerowie szablami wskazują drogę. Naprzód! byle wyprzeć nieprzyjaciela z zajętej pozycji.

Próżne wysiłki... Działa rosyjskie grzmiały bez przerwy, i choć niejeden kanonier pada

przy nich rażony kulą polską, inny wnet zajmuje jego miejsce i straszliwa muzyka nie ustaje ani na chwilę.

Zmieszały się wreszcie szeregi polskie i przedzione do połowy prawie, cofają się w tył.

Ogląda się książę Józef. Cóż to?.. czyżby polscy wojacy nie mieli zdobyć tej pozycji?

Co było niemożliwym dla piechoty, tego dokona konnica.

I wybiega przed szeregi ułanów, a błysnąwszy szablą w słońcu, woła:

— Naprzód wiara! Do ataku, galopem... Wziąć mi tę pozycję... zabrać te działa!

Dłonie żołnierskie ściągnęły cugle rumaków, zabłysnęło słońce w ostrzach obnażonych szabel i z gromkim okrzykiem:

— Niech żyje ks. Józef! Niech żyje cesarz! — szeregi ułanów runęły naprzód z pochylonemi do ataku lancami.

Zadudniła ziemia pod kopytami pędzących rumaków.

Grają działa rosyjskie, kule ryją głębokie szczyrby w rozpędzonych szeregach, lecz nic to!

Nim kanonierzy rosyjscy zdołali po strzale nabić działa po raz wtóry, dopadli ich ułani, rąbiąc szablami, kłując lancami...

Mgnienie oka prawie i ze szczytu wzgórza gromką pobudką rozlega się odgłos trąbki.

Zwycięstwo!... i błyszczą na nim ostrza lanc z blade-czerwonemi chorągiewkami, i grzmi okrzyk:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje książę Józef!

I wreszcie ostatni, najgłośniejszy:

— Niech żyje Polska!..

I wnet działa rosyjskie zostają odwrócone, zajmują przy nich miejsca kanonierzy polscy, i nabiwszy śpiesznie, rażą uchodzące w nieladzie szeregi.

Książę Józef zajął szczyt wzgórza i wysłał adjutanta do cesarza z wieścią o zwycięstwie i po nowe rozkazy.

Polecenie to otrzymał porucznik Habdank.

Wysłuchał go, ścisnął konia ostrogami i jak wicher popędził po zboczu wzgórza w stronę walczących o redutę Szewardyna zastępów francuskich.

Walka tam toczyła się niemniej zacięta... Artylerja francuska gradem kul obsypywała redutę, rosyjska zaś nie pozostawała jej dłużną. Korpusy wice króla włoskiego, Compansa i Murata darły się na nią bohatercko, niemniej mężnie odpierane przez wojska rosyjskie pod wodzą ks. Bagrationa.

I tak szturm szedł za szturmem, atak za atakiem, aż wreszcie zmierzchać się zaczęło.

Wtedy ostatni, rozpaczliwy wprost, szalony atak kawalerji francuskiej pod wodzą Murata.

Zmierzyła się ona z jazdą rosyjską i po krótkiej walce zmusiła ją do cofnięcia się.

Za kawalerją w ślad dąży 61 pułk linjowy, bagnetem odrzuca zagradzającą jej drogę piechotę, wpada na artylerję i wykluwszy kanonierów, zdziesiątkowany, zdobywa działa.

Okrzyk zwycięstwa rozlega się ze szczytu reduty, na której ukazuje się sztandar francuski.

Porucznik Habdank nadjechał właśnie w tej chwili, gdy okrzyk tryumfu zagłuszył huk dział i rzechotanie salw karabinowych i nagle potem wszystkie te odgłosy bojowe ucichły, zamilkły i od czasu do czasu tylko rozległ się pojedynczy strzał karabinowy, lub też krótki ogień tyraljerski, jak echo odległej burzy.

W bok od reduty, na skłonie wzgórza, płonęło wielkie ognisko, przed którym na składanym krzeselku połowem siedział cesarz. Otaczali go: marszałek Berthier, generałowie Sorbier, Monthyon, Eble. Generałowie Duroc i Krasieński przechadzali się w pobliżu, a opodal stało konno kilku oficerów służbowych.

Porucznik, zbliżywszy się do cesarza i jego orszaku, zeskoczył z konia i podszedł bliżej. Podsunął się zaraz ku niemu oficer służbowy i spytał:

— Skąd przybywacie, poruczniku?

— Od księcia Józefa Poniatowskiego z raportem i po rozkazy—odrzekł zapytany.

Zbliżył się wnet ku niemu marszałek Berthier z generałem Monthyonem i poprowadzili do cesarza.

Z obnażonemi głowami stanęli przed Napoleonem, na twarzy którego znać było cierpienie fizyczne. Utkwiwszy w twarzy porucznika swe zimne, przeszywające, jak ostrze szpady, spojrzenie, spytał:

— Skąd?

— Z korpusu księcia Józefa Poniatowskiego, najjaśniejszy panie! — odrzekł z ukłonem Habdank.

— Co tam u was? — pytał dalej krótko cesarz.

— Wieś Pasażewo, oraz lasek i wzgórze za nią zajęte; kolumna rosyjska odparta i ustawiona na wzgórzu: baterja zdobyta, najjaśniejszy panie! — raportował porucznik.

— Dobrze... Wracaj tam, poruczniku i powiedz księciu: trzymać się tam, nie ustępować ani na krok i czekać dalszych rozkazów.

Porucznik Habdank skłonił się i cofnąwszy się do swego rumaka, nakrył głowę, wskoczył na siodło i pomknął z kopyta z powrotem do swoich.

Przybywszy na miejsce, powtórzył rozkaz cesarza księciu Józefowi.

— Dobrze — odrzekł tenże.

I wnet korpus polski rozłożył się obozem około pobojo-wiska, zasłanego trupami, trzyma-

jąc się na baczności przed nagłym atakiem nieprzyjaciela, w razie gdyby chciał odebrać pozycję.

Po krótkiej wieczery na całej przestrzeni zapanowała cisza nocy. Od czasu do czasu tylko rozległ się huk pojedynczego wystrzału. Na niebie jaśniała luna od ognisk, płonących na biwakach.

Noc była zimna, wietrzna.

Żołnierze, ujęci mocnym snem, spoczywali wprost na polu, znużeni, wyczerpani całodziennym bojem, śniąc o czekających ich bojach.

Przed świtem wszyscy już byli na nogach. Zimny, ostry wiatr przenikał aż do szpiku kości. Wiarusy porwali się ze snu i śpiesznie poczeli się rozgrzewać przy ogniskach, warzyli strawę, a przytem i manierka z wódką krążyła gęsto z ręki do ręki.

O świtanu wzniosły się białe, mgliste opary z łąk i pól i naraz przed korpusem polskim wyłoniła się na siwym rumaku postać cesarza, któremu towarzyszył generał Sorbier. Za nim jechało tylko kilku strzelców gwardji oraz szwoleżerów polskich. Z surowem obliczem przemknął przed biwakiem, jak zjawą jaka, i pomknął dalej, hen, przed siebie.

W oddali, w lesie, słychać było rzechotanie salw karabinowych. Szła tam widać dość silna utarczka. Podążył tam oddział piechoty francuskiej; strzelanina się wzmogła i dopiero

koło południa ucichła. Tego dnia działa milczały.

Szykowano się do stoczenia walnej bitwy, rozstrzygającej, decydującej o posiadaniu stolicy...

W obozie rosyjskim głucha panowała cisza. Dobiegał tylko z niego odgłos jakby dzwonów, jakby chóralnego śpiewania pieśni nabożnych.

To przyniesiono do obozu Cudowny Obraz Smoleńskiej Matki Boskiej, procesjonalnie obnoszono go po obozie, korzyli się przed nim i głównodowodzący, i generałowie, i oficerowie i szeregowcy.

W obozie francuskim niemniej panował nastrój poważny.

Cesarz, po objechaniu wszystkich pozycji, zatrzymał się przed redutą Szewardyna.

— Gdzie jest 61 pułk? — zapytał pułkownika.

— W reducie — odpowiedział tenże — pilnuje stanowiska, które zdobył.

A wrzała tam robota od samego świtu... Żołnierze artylerji pod dowództwem oficerów, zajęci byli umacnianiem pozycji, zaciąganiem na nią dział, obwarowywaniem jej, by do obrony służyć mogła.

Po powrocie do namiotu, zastał tam cesarz gońca z Paryża, który przywoził mu list od cesarzowej, oraz pakę sporych rozmiarów.

Zaciekawiony Napoleon polecił rozpakować

ją Roustanowi, a gdy tenże odbił wieko, ukazał się w niej obraz, spowity w jedwabne materje.

Porwał go cesarz i śpiesznie, drżącemi rękami zaczął rozwijać.

Ukazały się z pod nich zlociste ramy, a potem i malowidło, wyobrażające cudownej piękności dziecę, podobne do cherubina. Siedziało ono w kółsce, trzymając w rączce piłkę.

W oczach Napoleona błysnęła radość, a z ust wyrwał się okrzyk:

— Mój syn!

Wpił wzrok w precudne malowidło i wpatrywał się w nie, wpatrywał długo, jakby chcąc na wieki utrwalić w pamięci te drogie rysy... tego syna, którego tak pragnął i którego tak kochał gorąco.

I powoli oczy jego zachodziły łzami, stały się mgliste i wreszcie spłynęła z nich ciężka, wielka łza radości i rozrzewnienia.

Postawił potem cesarz portret dziecięcia na stoliku pod ścianą namiotu, a przywoławszy oficerów ze sztabu, marszałków, generałów, zawołał:

— Patrzcie! patrzcie! com otrzymał z Paryża.

Otoczyli wszyscy kołem portret króla Rzymskiego, i z rzeczywistym, nieklamany zachwytem patrzeli na niego.

— Trzeba pokazać go i wiarusom naszym—

rzekł cesarz gorączkowo — niech i oni przyjrą się jemu, przybywa tu w dobrą godzinę... przyniesie nam szczęście w tej batalji.

I wnet na rozkaz cesarski służba wyniosła przed namiot stół, na którym ustawiono ów portret.

Otoczyli go zaraz wierni starzy gwardziści, i z zachwytem patrzeli na cudne dziecę.

— Patrz, patrz! — mówił niejedyn stary, brodaty wiarus ze starej gwardji — jaki to ci ten nasz malec piękny. Co? zupełnie swego ojca przypomina.

— Tak, tak—odpowiadali mu towarzysze— niczego sobie kapralatko. Szkoda tylko, że nie starszy, mógłby już prowadzić nas w tańcie!

Przez dzień cały aż roilo się przed namiotem od żołnierzy ze wszystkich pułków wielkiej armji, przyglądających się portretowi dziecica tego umiłowanego nadewszystko wodza, a które uważali za swoje.

Wszak nie darmo cała armja francuska trzymała do chrztu dziecę wodza swojego, cesarza! Teraz już jest królem rzymskim, a w przyszłości będzie jednym z najpotężniejszych monarchów świata.

I podczas gdy wojacy, podziwiając portret następcy tronu, tłoczyli się przed namiotem, wewnątrz tegoż toczyła się ważna narada co do stoczyć się mającej bitwy.

Marszałkowie stawiali swoje wnioski, zdawali sprawę z sił swoich oraz ze stojących naprzeciwko sił rosyjskich.

Cesarz słuchał ich w milczeniu, aż wreszcie, gdy wypowiedzieli się wszyscy, rzekł:

— Najpoważniejszy atak wykonać należy na Borodino, na wznoszącą się na pierwszym wzgórzu wielką redutę, oraz na trzy szaniece, na drodze do wioski Siemionowskoje.

Z prawej strony, w lasach Uticy i na starej drodze do Moskwy stanie korpus polski księcia Poniatowskiego, który z tej strony uderzy na Rosjan. Gdyby udało im się odeprzeć nieprzyjaciół, podeśle się tam siły poważniejsze...

Eugenjusz stanowić będzie punkt główny. Prawe skrzydło księcia Poniatowskiego rozpocznie walkę. Zdobywszy redutę, zwróci się na lewo i pójdzie na flank Rosjan, wypierając całą ich armję na prawo i do Kołoczy. Ney i Davoust staną w środku, a za nimi, w drugiej linii Junot i Murat, gwardja zaś stanowić będzie rezerwę.

Wysłuchali tych poleceń marszałkowie i pożegnawszy cesarza ukłonem, wyszli z namiotu, udając się do korpusów swoich, by wydać rozporządzenia i czynić przygotowania do czekającej ich jutro bitwy.

Na biwakach wrzała wszędzie gorączkowa praca. Żołnierze czyścili broń, uzupełniali

naboje w ładownicach i porządkowali przybory.

Wieczorem, przy apelu, odbył się przegląd broni, ubrania i obuwia. Wszystko znajdowało się w doskonałym stanie.

Zapadła noc, wilgotna, przeplatana drobnym deszczem. Przy płonących ogniskach rozłożyli się żołnierze, z cicha gwarząc o przeszłości i przyszłości, o czekającej ich jutro krwawej, strasznej bitwie. Powoli znużenie zaczęło im kleić oczy i sen krzepiący ogarnął wszystkich. Po obozie snuły się tylko patrole, oraz adjutanci, roznoszący ostatnie rozkazy.

Było już po północy, gdy deszcz gęsty, kroplisty padać zaczął, a przejmujące zimno przewalało sen żołnierzy, pobudzając ich do wstania z wilgotnej ziemi. Rozpalano ogniska, grzano się przy nich, warzono strawę.

Jednocześnie prawie do każdego z pułków podążyli adjutanci cesarscy, przynosząc słynny rozkaz dzienny Napoleona, do odczytania go żołnierzom.

Brzmiał on:

«Żołnierze! Oto bitwa, której od dawna oczekiwaliście. Zwycięstwo zależy od was! Jest ono koniecznem, gdyż da wam wszystko, czego potrzebujecie, wygodne mieszkania i prędki powrót do ojczyzny. Działajcie tak jak działaliście pod Austerlitz, Friedland, Witebskiem i Smoleńskiem. Niech potomność

z dumą wspomina o czynach waszych w tym dniu. Niech powiedzą o każdym z was: «uczestniczył w wielkiej bitwie pod Moskwą!»

W obozie całym budziło się życie. Pułki jazdy polskiej dokonywały już posunięć swych w mroku nocy.

Przy ogniskach biwakowych błąkały się niespokojnie jakieś ciemne postacie. Dla wielu ludzi miała to być ostatnia noc.

Bez żadnych sygnałów, bez bębnow i trąbek poczuli się zrywać żołnierze i stawać pod swoje sztandary.

Twarze ich były poważne, skupione, jakby śmierć zawczasu wryła na nich swe piętno.

O godzinie piątej rano przemknął przed szeregami konno Napoleon. Na twarzy jego znać było cierpienie, z powodu choroby, która go przez noc całą dręczyła, lecz bystrym, zimnym wzrokiem obrzucał te wyciągnięte szeregi ludzi, gotowych do boju, do walki, gotowych umrzeć dla niego i za niego.

W obozie rosyjskim również w milczeniu szykowano się do walki.

Szeregi stawały tam za szeregami, groźne, milczące.

Napoleon zlustrował wszystkie pozycje, dalsze obejrzał przez lunetę, przyjrzał się siłom nieprzyjacielskim, i gdy mu dano znać, że marszałek Ney chce uderzyć, zawołał:

— Nareszcie trzymamy ich; idźmy otworzyć sobie bramy Moskwy!

Rozległ się cichy sygnał trąbek i jednocześnie głuchy huk strzału działowego rozdarł powietrze.

Cisza...

A w chwilę potem ryknęło już dział kilkadziesiąt, którym odpowiedziały inne, tak, że wkrótce słyhać było tylko jeden ogłuszający ryk tysiąca dwustu dział.

Na ten znak kolumny wojsk francuskich ruszyły do boju.

Książę Józef na czele swego korpusu pierwszy rzucił się do walki.

Szeregi polskie posuwały się wciąż naprzód, wymieniając strzały karabinowe z stojącymi naprzeciwko oddziałami rosyjskimi.

— Naprzód! naprzód! — rozlega się komenda i wreszcie piechota cała z bronią wysuniętą przed siebie, rzuca się do ataku, nie zważając na to, że kule rosyjskie gradem ich zasypują, niejednego powalając na ziemię, że kule działowe krwawe zbierają żniwo...

Nic to, byle naprzód, naprzód, przed siebie, do zwycięstwa!

Dopadli wreszcie do pierwszego szańca. Z ust ich wrywa się gromki okrzyk tryumfu:

— Niech żyje cesarz! — i pod bagnietami ich konają kanonierzy rosyjscy, krwią brocząc działa swoje.

— Naprzód... naprzód!... i mkną już na drugi szaniec, by i z niego wyprzeć mężnych obrońców.

Znów walka, straszna, zjadła, walka pierś o pierś. Kolumny rosyjskie z zaciekłością, z okrzykiem: Hurra! na ustach rzucały się na utraconą pozycję, byle tylko odebrać ją, byle tylko odzyskać ją, lecz wszelkie wysiłki ich rozbijały się o stojące jak mur szeregi.

Na szczycie szanica odwracano na prędcę działa, wzmacniając baterje francuskimi działami i wkrótce rozbrzmiały one, syjąc gradem kul na zbliżające się oddziały rosyjskie.

A tam, w środku samym, wre zacięta bitwa. Rosjanie bronią jak lwy swoich pozycji, z których wypierają ich Francuzi.

Huk dział i rzechotanie salw karabinowych zagłusza wszystko, lecz czasem przedrze się przez nie gromkie francuskie: En avant! i rosyjskie: Hurra!

Jak dwie potężne fale ścierają się z sobą kolumny wojsk walczących. Rzucają się na siebie, cofają, by znów natrzeć z większym jeszcze impetem...

Padają tysiące trupów i rannych, lecz dalsze szeregi depcą ich, tratują, drąc się naprzód, do zwycięstwa, do chwały!

Nareszcie wśród szeregów przebiega wieść:

— Księżę Eugenjusz zdobył redutę Boro-

dina! Ney i Davoust zdobyli szanice i redutę Siemionowskoje!

Rzeczywiście!... Natarcie pułków korpusu Neya i Davoust'a tak było szalone, tak gwałtowne, że szanice opanowali w mgnieniu oka, zrównali je z ziemią, a potem bezładnie wtargnęli do reduty, nie pozwoiliwszy Rosjanom wyciągnąć dział.

Napróżno siłą się oni odebrać je. Nadbiegł książę Bagration z posiłkami, lecz ranny śmiertelnie, padł na ziemię, a zastępy jego cofnąć się musiały. Napróżno Kutuzow zbierał wszystkie oddziały, by uczynić ostatni wysilek, lecz zapalczliwość Rosjan rozbijała się o żelazną wytrwałność wojsk francuskich, stojących jak mur...

Cały atak, cały napór wojsk skierowano potem na redutę Rajewskiego, pozostającą jeszcze w ręku Rosjan.

Atak był szalony... Piechota szła do szturm z przodu, konnica uderzała z boków, podczas gdy artylerja prażyła ją ogniem z góry.

— Naprzód! naprzód! — rozlega się komenda i piechurzy drą się na szaniec, ścieląc trupami swemi drogę innym.

Zmieszało się wszystko, skotłowało w tym szalonym wirze walki, zagłuszone hukami dział i okrzykami bólu i wściekłości. Atak Francuzów był szalony, padli też w nim obydwaj dowódcy: kirasjerów generał Caulaincourt, oraz

piechoty generał Lanabère; lecz żołnierze, jakby chcąc pomścić śmierć swych wodzów, walczyli z jeszcze większą zaciekłością.

Wkrótce też nad potężnym hukiem dział zapanował gromki ich okrzyk:

— Vive l'Empereur!

Reduta była zdobyta! Powiał nad nią sztandar cesarski. Granie dział jakby przycichło, jakby stało się słabszem. To zamilkły działa rosyjskie, które dostały się w ręce zwycięzców...

W nieładzie cofały się kolumny Rosjan z reduty, w której wnet zawrzała gorączkowa praca przy ustawianiu nowych dział, z których Francuzi zaczęli razić cofających się.

Rosjanie otoczeni byli ognistym pierścieniem, w którym dwie strony stanowiły zastępy polskie księcia Józefa Poniatowskiego i wicekróla włoskiego Eugenjusza Beauharnais, środek zaś zajmowały główne siły wielkiej armji.

Walka wrzała zajadła... Góry trupów słały się z obydwóch stron, a mimo to Rosjanie nie myśleli jeszcze o ustąpieniu.

Była godzina wpół do 4-ej. Cesarz Napoleon ponury, osłabiony, wyczerpany cierpieniem fizycznym, z oddali przyglądał się przebiegowi bitwy, z rezygnacją i obojętnością przyjmując wiadomości o śmierci najlepszych generałów oraz o zwycięskim posuwaniu się naprzód wojsk swoich.

Naraz przybiega do niego marszałek Ney i woła:

— Najjaśniejszy panie! pozwól, by gwardja ruszyła do walki; niech ona uderzy, a armja rosyjska do szczytu rozbitą zostanie.

Lecz Napoleon, z trudem unosząc powieki, odrzekł słabym głosem:

-- A z czemże wydam drugą bitwę? Jakże mógłbym pozbawiać się rezerw o trzy tysiące mil od głównej podstawy!?

Ney zrozpaczony powraca do swoich szeregów, a z taką prośbą nadbiegają Murat, Belliard, domagając się tego w imieniu całej armji.

Lecz na wszystkie nalegania, na wszystkie żądania jednaką słyszą odpowiedź.

I oto z ust zrozpaczonego Murata wrywa się ten okrzyk:

— Kiedy cesarz pozostaje w tyle za armją, kiedy nie jest już generałem, a chce być wszędzie cesarzem, niech wraca lepiej do Tuilerjów i pozwoli nam być generałami.

I brzmi wciąż bez ustanku straszna kanoada. Działa grzmia bez przerwy, a Murat raz za razem naciera swą konnicą na cofające się zwarte kolumny Rosjan.

Ksiązę Józef wytrwale trzymał się na stanowisku swoim, odpierając wszelkie natarcia kolumn rosyjskich:

Naraz dał się słyszeć okrzyk:

— Kozacy w tyle!

To kozacy atamana Płatonowa, obszedłszy bokiem wojska, zamierzali uderzyć na tyły armji napoleońskiej.

Lecz omylili się w rachubach swoich.

— Ułani, naprzód! do ataku, marsz!

Zafurczały chorągiewki u lanc, zabłysnęły szable i pułk ułanów jak burza runął na wychylające się z lasu szeregi kozaków.

Kozacy zawahali się, nie spodziewając się takiego przyjęcia, zatrzymali na chwilę, a tu ułani wpadli już na nich, siekąc, kłując, trącając...

Zwarli się z sobą... Zawrzała zjadła bitwa. Kozacy, przemagający ilościowo, otoczyli woisko ułanów, lecz rady im dać nie mogli. Lepiej wyćwiczeni i uzbrojeni żołnierze polscy, odpierali ich ataki, gęsto kładąc trupem.

Naraz oderwała się od całego oddziału kozaków znaczna część i zawróciwszy, poczęła okrążać ułanów, by uderzyć na ich tyły.

Dostrzegł ten ich manewr porucznik Habdank i postanowił ich ubiedz.

Z ust jego padła komenda:

— Na prawo zwrot, marsz!

I oddziałek jego, wykonawszy ten manewr, spotkał się twarzą w twarz z obchodzącymi ich kozakami.

Pomimo, że siły tychże były w trójnasób większe, zwycięstwo wkrótce zaczęło się prze-

chyłać na stronę ułanów, i kozacy, zawróciwszy, pierzchać zaczęli...

Porucznik Habdank, jak lew rzucał się wszędzie, gdzie wrzała najbardziej zjadła bitwa.

Z szablą wzniesioną do cięcia natarł na siwego już setnika, lecz ten, spojrzawszy na niego, szepnął:

— Bat'ku... Atamanie... nie bij swoich!

Porucznik zmieszał się i opuścił szablę... Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie Habdank rzekł głucho:

— Uciekaj, Ostapie... Uciekaj, a nie mów nikomu, żeś mnie widział.

Ostap spojrział na niego z żalem i rzekł:

— Oj, pohulaliby my z tobą, bat'ku atamanie... pohulali!

I pochyliwszy w ukłonie głowę, dał znak swoim i zawróciwszy, poczęli się śpiesznie cofać...

Za przykładem ich poszli inni.

Naraz rozległa się gromka komenda dowodzącego przybyłemi z pomocą ułanami rotmistrza Gawrońskiego:

— Za nimi! Naprzód, marsz!

I pomknęli ułani polscy w ślad za uchodzącymi kozakami wązką ścieżyną leśną, pomknęli jak wicher, siekąc pozostających w tyle.

Pędzili tak bez upamiętania czas pewien, aż wreszcie, dążący na czele kapitan Jan Garliński, zaczął powstrzymywać konia, patrząc ze

zdziwieniem na rozścielające się przed nimi miasto.

— Rotmistrzu — oznajmił zbliżającemu się ku niemu rotmistrzowi Gawrońskiemu — przed nami widać miasto jakieś. Zdaje się, że to Możajsk.

Przyrzekli się baczniej. W ulicach miasteczka widoczne były stłoczone wozy, wyladowane różnemi pakunkami, wózki z prochem, ambulanse. Między niemi kręciło się wielu żołnierzy rosyjskich.

W oddali widać było jak na dłoni walczące szeregi, spowite kłębamii dymu.

Był to Możajsk! Dostali się na tyły armii rosyjskiej.

— Szkoda — szepnął rotmistrz Gawroński — że jest nas tak mało, żeby tak z parę szwadroników piechoty, wnetby im można zrobić dywersję...

A kapitan Garliński, porucznicy Habdank i Wicherski, i inni oficerowie i żołnierze, płonącemi oczami patrzeli na rozciągający się przed nimi obraz, dłonie ich ścisnęły szable, aż wreszcie porucznik Habdank zawołał:

— Panie rotmistrzu!... możeby tak poskoczyć?

Rotmistrz spojrział na przestrzeń dzielącą ich od miasta, na snujące się tam oddziały wojsk, i wreszcie, po dłuższym namyśle, wyrzekł:

— Ano, nie zawadzi... Śmiało tylko chłopcy... szable w garść i z kopyta! Czwórkami naprzód, marsz!

I wysunął się z lasu oddział ułanów, ustawił w szyku i z gromkim okrzykiem:

— Niech żyje cesarz! — runęli naprzód.

W obozie rosyjskim na ten niespodziewany atak powstało trudne do opisania przerażenie.

Rozległ się okrzyk:

— Ułani! Ułani!

I zakotłowali wszyscy, zakręcili się w jakiejś bezładnej panice.

A ułani mknęli z kopyta, siekąc napotkanych po drodze żołnierzy, kłując lancami, trąjąc...

Jak burza przemknęli aż pod samo miasto, a napotkane po drodze oddziały wojsk rosyjskich, w przeświadczeniu, że za nimi postępują poważniejsze siły, cofały się śpiesznie w popłochu ku głównym siłom.

Tam również dostrzeżono ten niespodziewany atak. Rozległy się trąbki sygnałowe, słowa komendy i wnet zaczęły się oddzielać poważne siły, by dać odpór atakującym.

Ułani mogli się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie.

Spostrzegł to rotmistrz Gawroński i rzucił krótki rozkaz.

Wnet rozbrzmiał odgłos trąbki i rozległa się komenda:

— Do odwrotu, marsz!

I ulani polscy, przemknawszy na tyłach walczącej armji rosyjskiej, zawrócili sprawnie w miejscu i zaczęli się cofać w ordynku ku owemu lasowi, z którego wyszli.

Nim Rosjanie zdołali do nich dobiec, skryli się w lesie, wracając do swoich stanowisk.

Przez całą drogę rotmistrz wdychał tylko, a dążący tuż obok niego kapitan Garliński posłyszał, jak mrucał:

— Ach, żeby tak choć z jedna dywizja... Natarłoby się z tyłu na nieprzyjaciela i wywołało zamieszanie w jego szeregach... A tak, trzeba się cofać.

Zmierchało już, gdy ulani wrócili do korpusu głównego; rotmistrz Gawroński złożył raport księciu Józefowi Poniatowskiemu.

Twarz księcia Józefa zachmurzyła się, gdy wysłuchał tego sprawozdania.

— Posyłałem już do cesarza o posiłki — rzekł — lecz odrzekli, że przysłać ich nie mogą. W ten sposób, dzięki ich niedbalstwu, zwycięstwo wymyka się z rąk naszych.

A tymczasem na głównym polu walki, przy zapadającym zmierzchu, huk dział zaczął się zmniejszać, i pozostający w reducie żołnierze ujrzeli Rosjan, podsuwających się ku niej w groź-

nem milczeniu. Zatrzymali się oni nieopodal od nich.

Wtedy dywizja legji nadwiślańskiej generała Chłopickiego otrzymała rozkaz wyparcia ich stamtąd.

Kolumny polskie, zatoczywszy półkole, ruszyły naprzód i przyjęte zostały gęstym ogniem karabinowym.

— Szluj się! szluj się! — rozległa się komenda i pułki polskie runęły do ataku.

Zawrzała żwawa utarczka, w której legło wielu oficerów i żołnierzy. Po półgodzinnej walce nieprzyjaciel cofnął się, a legja nadwiślańska zajęła jego stanowiska.

Pozostała też tam i rozłożyła się biwakiem pośród umierających i umarłych.

Powoli odgłosy bitwy zacięły... Armja francuska zajmowała pole bitwy, święcąc zwycięstwo. Rosjanie cofnęli się ku Możajskowi.

Zapłonęły ogniska na biwakach, a za materiał do nich posłużyły kolby z karabinów rosyjskich, wózki od amunicji, lawety.

Żywności również nie brakło, gdyż żołnierze rosyjscy mieli tornistry wyladowane mąką i kaszą, a w manierkach pełno wódki.

Zaledwie jednak zapłonęły ognie, gdy po obrzymiem pobojuwisku przebiegł jeden potężny jęk i ze wszystkich stron poczęli pełznąć ku ogniskom ranni, straszni, okropni, krwią

zbroczeni; jedni po to, ażeby skonać, inni dla ogrzania skostniałych członków.

Pelzali tam wszyscy, zarówno z armji francuskiej, jak i rosyjskiej i wkrótce przy ogniskach biwakowych było ich tylu, co i zdrowych i całych.

I oto zahartowani w bojach żołnierze, strudzeni, wyczerpani całodzienną walką, zgłodnieli, zapomnieli o posiłku, o wypoczynku, wołając sami cierpieć, niż pozostawić bez opatrunku i pomocy cierpiących towarzyszków.

I niezadługo każde ognisko otaczali kołem ranni i konający, utkwivszy szklany wzrok w płonącym ogniu, jakby od niego oczekując pomocy i wzmocnienia.

Zakrzętnęli się koło nich pozostali przy życiu towarzysze. Umarłych z całą troskliwością odnoszono na stronę, jakby obawiając się obudzić z tego snu wiecznego, rannym zaś nakładano prowizoryczne opatrunki, aż do czasu, dopóki lekarze nie będą mogli opatrzyć ich należycie.

W mroku nocy, przy migotliwym świetle płonących ognisk, żywi poruszali się w ciemnościach, jak cienie umarłych.

Grobową ciszą panowała z obydwóch stron. Na biwaku rosyjskim ognie płonęły nie tak licznie i tylko od czasu do czasu słyhać było tupot kopyt końskich przechodzących patroli, oraz ciche pytanie:

— Kto idzie?

Minęła północ... Cisza wciąż panowała, przerywana tylko cichym jękiem umierających i rannych.

Koło korpusu polskiego snuły się liczne forpocztę, gdy naraz do uszu ich dobiegł tentent kopyt końskich.

Siedzący przy jednym ognisku trzej przyjaciele «nierozłączni», jak nazywano ich w obozie, w jednej chwili porwali się na równe nogi i obudziwszy część kompanji swoich, oraz piechoty, posunęli się ku przednim strażom.

Na drodze spotkali biegnącego ku nim wachmistrza Dębińskiego, wołającego:

— Kozacy idą! kozacy idą!

Posłał go kapitan Garliński z tą wieścią do pułkownika, a sam, przyśpieszywszy kroku, czemprowadzając pobiegł w stronę forpoczt.

A tentent kopyt końskich zbliżał się coraz bardziej.

Kapitan Jan ustawił swą kompanję i gdy nieprzyjaciel zbliżył się na odległość strzału, zakomenderował:

— Cell... pal!

Zabrzmiała salwa, a w odpowiedzi dał się słyszeć zmieszany krzyk kozaków, cofających się w nieładzie.

I z ich strony padła salwa jedna i druga, lecz tymczasem polakom nadciągnęły posiłki, więc przyjęli ich ogniem bardzo gęstym, przy-

tem ułani, prowadzeni przez Habdanka, natarli na nich z boku, tak, że nie mieszkając długo, zawrócili i śpiesznie cofnęli się.

Do świtu już panował spokój.

Zimno i wilgoć dotkliwie dawały się we znaki wszystkim, gdy rozwidniło się już zupełnie.

W oddali dał się słyszeć głuchy huk armat...

Na wyniosłościach, poza miastem, Rosjanie rozbili obóz, zajmując jednocześnie i miasto Możajsk.

Około godziny dziesiątej rano ukazał się cesarz. Blady i posępny, witany cichym, jakby zdławionym okrzykiem:

— Vive l'Empereur!

A on przeglądał to smutne, straszne pobojowisko, zasłane trupami poległych.

Wjechał potem na wzgórze i długo przez lunetę przyglądał się rozłożonemu w oddali obozowi rosyjskiemu.

Na polu walki tymczasem oficerowie obliczali liczbę poległych.

A padło ich dnia poprzedniego niemało... W ząbartej walce legło ze strony Rosjan 60000 zabitych i rannych, podczas gdy Francuzi stracili około 30000 zabitych i rannych. Z ich strony również padło 49 generałów i 37 pułkowników zabitych i rannych, ze strony Rosjan straty te były równe.

Rosjanie stracili w jeńcach około 3000, przyczem sami Polacy zabrali do niewoli około 2000.

Dzień cały zeszedł spokojnie, na grzebaniu poległych, poczem nazajutrz armja Napoleona posunęła się naprzód.

Rosjanie, odstrzeliwając się z dział, cofali się w porządku ku Moskwie... Kanonada trwała nieomal bez przerwy, przyczem konnica rosyjska i kozacy coraz przypuszczali atak ku posuwającym się naprzód kolumnom francuskim...

I jeszcze kilka utarczek, jeszcze kilka potyczek krwawych, i wreszcie w dniu 14 września awangarda wojsk francuskich stanęła na górze Zbawienia, tuż pod Moskwą..



75640/2

TREŚĆ.

	Str.
VI. Książę Józef	1
VII. Smoleńsk	16
VIII. Napoleon i książę Józef	36
IX. Dzień walki, dzień nagrody	46
X. Szlakiem Żółkiewskiego	57
XI. Borodino	69



Wydawnictwo
Książki

75640/2



Dodatek do Naszego Świata

Luty 1912